Przegląd spraw zagranicznych

Nowa konstytucja litewska — Projekt nowego ustroju Hiszpanji

Nowa konstytucja litewska nie przynosi żadnych poważniejszych zmian ustrojowych. Suwerenna władza należy do narodu a sprawuje tę władzę rząd, sejm i sąd. Sejm wybierany jest w drodze **pięcioprzymiotnikowego prawa** głosowania. Czynne prawo wyborcze przysługuje mężczyznom i kobietom, korzystającym z pełni praw o ile ukończyli 24 rok życia. Bierne prawo wyborcze osiąga się po ukończeniu 30-ego roku życia. Sejm trwa 5 lat. Prezydent Republiki rozpisuje wybory w ciągu 6 miesięcy po upływie kadencji lub rozwiązaniu sejmu. Termin wyborów do pierwszego sejmu określi Prezydent według swego uznania, nie krępując się terminem sześciomiesięcznym. Sejm odbywa corocznie dwie sesje, które trwać mogą najwyżej po 3 miesiące. Pierwsza sesja rozpoczyna się w lutym, druga we wrześniu. Nadzwyczajną sesję sejmu może zwołać Prezydent lub trzy piąte ogólnej liczby posłów. Liczba posłów pozostaje narazie nieokreślona. Nietykalność poselska zostaje utrzymana w zwykłych granicach. Wolno jedynie pociągnąć posła do odpowiedzialności karnej w zwykłym trybie, jeżeli w przemówieniu swojem w sejmie dopuścił się **obrazy czci** w stosunku do obywatela. Specjalna ustawa ma określić ograniczenia dla posłów co do wykonywania przez nich zajęć zarobkowych.

Rząd stanowią prezydent republiki i gabinet ministrów. Prezydent urzęduje siedem lat. Sposób wyboru nie jest w konstytucji określony i wydana będzie specjalna ustawa co do tego. Prezydent musi mieć w chwili wyboru ukończonych 40 lat. Zastępuje go w razie choroby lub wyjazdu, premjer. Prezydent mianuje premjera, ministrów i kontrolera finansowej i budżetowej gospodarki państwa. Prezydent ogłasza ustawy, uchwalone przez sejm. Termin ogłoszenia ustawy określony został na dni trzydzieści. Prezydent jednak posiada **ograniczone prawo veta,** t. zn. może ustawę odesłać zpowrotem do sejmu ze swoim wnioskiem, w tym wypadku ustawa— jeżeli ma wejść w życie, wymaga ponownego uchwalenia przez dwie trzecie posłów. Prezydent ma prawo **samodzielnie rozwiązywać sejm.** W razie nieobradowania sejmu, t. zn. między kadencjami oraz w razie nieistnienia sejmu **Prezydent może wydawać ustawy,** które zachowują moc prawną aż do ewentualnej zmiany ich przez sejm. Przewidziana jest także instytucja **„Rady Państwa“** dla uregulowania ustaw i opracowywania, względnie przeglądania projektów ustawodawczych. Bliższe kompetencje tego ciała narazie nie zostały określone. Liczba ministrów nie jest również ustalona w konstytucji. Gabinet ministrów **odpowiedzialny jest solidarnie przed sejmem** za ogólną politykę rządu, a **każdy minister oddzielnie odpowiedzialny jest przed sejmem** za politykę swego resortu. Gabinet ministrów i każdy minister oddzielnie **podaje się do dymisji** w razie otrzymania votum nieufności większością **trzech piątych** ogólnej liczby posłów.

Sądownictwo jest niezależne i wyrokuje w imieniu republiki litewskiej. Zasady organizacji sądownictwa nie zostały w konstytucji określone, stanie się to w drodze specjalnej ustawy. Dla wojskowych przewidziane są sądy wojskowe. Sądy nadzwyczajne mogą powstać tylko w razie wojny lub ogłoszenia stanu wojennego.

Dla gmin i miast przewidziany jest **ustrój samorządowy.** Przewidziany jest również **samorząd dla mniejszości narodowych w** sprawach narodowo - kulturalnych, oświaty ludowej, dobroczynności i pomocy wzajemnej. Sprawy te mogą mniejszości regulować za pośrednictwem swoich ciał reprezentacyjnych, co do których bliższe szczegóły i zasady określone zostaną specjalnemi ustawami. Konstytucja przewiduje powszechny obowiązek służby wojskowej.

Szkolnictwo organizuje rząd, samorządy, organizacje społeczne i jednostki, Nadzór nad całem szkolnictwem sprawuje rząd. **Nauka religji jest obowiązkowa** i prowadzona ma być według wymagań organizacji religijnej, do której należą rodzice ucznia. Przewidziane są jednak **szkoły dla bezwyznaniowych.** Powszechne nauczanie jest obowiązkowe i bezpłatne w szkołach rządowych i samorządowych. Prywatne szkoły wyznaniowe o ile wprowadzają w życie minimalny program oświatowy rządu, otrzymują subsydja.

W polityce ekonomicznej przyjmuje się za sadę **własności prywatnej.** Gałęzie gospodarcze mogą się organizować na zasadach samorządu. Podatki nakładane być mogą jedynie **w** drodze ustawowej. Budżet musi uzyskać zatwierdzenie sejmu.

W zakresie opieki społecznej podkreślono specjalnie, że macierzyństwo korzysta z opieki państwowej. Gminy mają prawo decydowania o sprzedaży alkoholu.

Projekt zmiany konstytucji wysunąć może rząd, sejm lub **50 tysięcy obywateli,** posiadających prawo wyborcze czynne. Projekt taki musi uzyskać większość **trzech piątych** ogólnej liczby posłów. Konstytucja przewiduje **odwołanie się do decyzji narodu** zarówno w razie przyjęcia przez sejm zaprowadzonej zmiany jak i w wypadku odrzucenia takiego projektu. Odwołać może się do narodu Prezydent Republiki lub 50 tysięcy obywateli, posiadających czynne prawo wyborcze. Jeżeli nie zgłoszono odwołania się do narodu, zmiana konstytucji przyjęta przez sejm, wchodzi w życie po trzech miesiącach od uchwalenia.

Jak widać z tego, konstytucja litewska wprowadza pewne zwiększenie władzy Prezydenta i pewne utrudnienia przy obalaniu rządu lub ministrów. Prezydent bowiem bez specjalnych pełnomocnictw może w czasie nieobradowania lub nieistnienia sejmu wydawać rozporządzenia z mocą ustawy, które nie wymagają zatwierdzenia przez sejm. Ponadto prezydent ma prawo odsyłania ustaw zpowrotem do sejmu o ile nie uzyskają jego aprobaty a wówczas ponowne uchwalenie ich wymaga kwalifikowanej większości. Łącznie z samodzielnem prawem rozwiązywania sejmu, przyznanem Prezydentowi, jest to dość znaczne rozszerzenie jego władzy, umożliwiające w pewnych wypadkach nawet **dyktaturę prezydenta.** Razem wziąwszy są to jednak **zmiany powierzchowne,** nie sięgające w głąb i do fundamentów dotychczasowego ustroju i dlatego nie wykluczają niespodzianek i tarć między władzą wykonawczą i ustawodawczą.

Inaczej nieco przedstawiają się **zamierzenia hiszpańskie w kierunku reform konstytucyjnych.** Primo de Rivera jest poważnie chory. Cierpi na silnie rozwiniętą cukrzycę. Z tego powodu niejednokrotnie zdradzał już chęć opuszczenia swego stanowiska, pozostawał jednakże ciągle na posterunku. Posiada opinję człowieka niezmiernie obowiązkowego i pełnego poczucia odpowiedzialności za losy państwa, do którego historji wtargnął na drodze zamachu stanu. Zawsze przeto na stanowisku utrzymywała go nawet w chwilach wielkiego przemęczenia obawa o dalsze losy państwa i dalszy przebieg zapoczątkowanych reform. Obecnie jednak lekarze stanowczo domagają się od niego, aby usunął się z pożerającego jego siły stanowiska na inne, spokojniejsze np. na stanowisko cichego doradcy swego następcy.

Tym złym stanem zdrowia Rivery tłumaczy się szereg przemian, jakie z biegiem czasu dokonywały się w systemie rządzenia Hiszpanją. Dyrektorjat wojskowy po zamachu stanu w roku 1923 przeobraził się w rządy cywilnego gabinetu z r. 1925-go, który rządził ciągle jeszcze wszechwładnie i bez żadnej kontroli. Po dwuch latach powołane zostało do życia **Zgromadzenie Narodowe,** które zaczęło sprawować pewną moralną kontrolę nad rządami gabinetu, aczkolwiek gabinet nie był obowiązany liczyć się z uchwałami tego ciała. W tym też okresie **znika z widowni militarny komitet wykonawczy,** złożony z generałów, i rząd nabiera charakteru cywilnego. Armja schodzi na drugi plan, pozbawiona wszelkiego wpływu na władzę w państwie, kryjąc swe niezadowolenie z takiego biegu rzeczy. Oparciem dla rządu staje się Guardia Civil, **korpus policyjny** podlegający ministrowi spraw wewnętrznych. Ten korpus będzie niezawodnie także i w przyszłości podporą władzy każdego rządu.

Hiszpanie lubią zaokrąglone daty — nie chcą utrudniać swoim dzieciom nauki historji i dlatego spodziewane jest ustąpienie Rivery w dn. 13 września, b. r., t. j. **po pięciu latach sprawowania władzy dyktatorskiej.** Widocznie w związku z tem ślub Rivery, naznaczony na wrzesień, zostaje podobno przesunięty na termin wcześniejszy. Chodzi pewnie o to, aby żona weszła do towarzystwa jeszcze jako „pani dyktatorowa“. Nie jest jednakże pewnem, czy Rivera całkowicie wycofa się z działalności politycznej, czy też tylko pozwoli sobie na dłuższy, np. dwuletni urlop. W każdym razie jako jego następcę czy zastępcę wymieniają **hr. Guadalhorce,** obecnego ministra komunikacji, podobno niezwykle energicznego i zdolnego człowieka.

Zbliża się także chwila ostatecznej decyzji co do przyszłego ustroju Hiszpanji. Zgromadzenie Narodowe powołane zostało celem przygotowania **projektu nowej konstytucji.** Prace w komisji konstytucyjnej Zgromadzenia są na ukończeniu i zasady przyszłego ustroju zostały ustalone. Idą one w kierunku **wzmocnienia władzy króla** i w tym celu pragnie się w nich uzgodnić zasadnicze cechy dawnego demokratycznego państwa z charakterystycznemi cechami faszystowskiego państwa korporacyjnego.

Przewidziany jest rodzaj parlamentu, złożonego **z dwuch izb,** przyczem miejsce senatu zająć ma **„Rada Królestwa“** — Censejo Real — do której m. in. weszliby grandzi hiszpańscy. Na czele tej izby stanąłby **następca tronu.** Oprócz tego do izby tej weszliby delegaci samorządów miejskich i prowincjonalnych oraz osobistości powołane w drodze nominacji przez króla. Ogółem izba ta liczyłaby około stu członków. **Izba niższa** składałaby się z 400 członków, będących częściowo **delegatami korporacyj,** częściowo ludźmi mianowanymi przez króla, a częściowo wybranymi przez naród **w drodze głosowania powszechnego.** Izby nie byłyby równorzędne. Izba wyższa byłaby naprawdę izbą wyższą i posiadałaby **prawo zawieszania uchwał izby niższej** i podtrzymywania rządu nawet wobec votum nieufności izby niższej. Ministrów samodzielnie dobierałby sobie i mianował król.

Rivera na samym początku prac konstytucyjnych zaznaczył, że projekt, opracowany przez Zgromadzenie Narodowe w porozumieniu z obecnym rządem zostanie przedstawiony narodowi, aby przyjął go lub odrzucił. **Będzie zatem plebiscyt.** Jak ten plebiscyt będzie zorganizowany i jak będzie sformułowane pytanie plebiscytowe, narazie nie wiadomo.

Bogusław Zabłocki.

SEZON w PARYŻU

HISTORJA NIENAPISANEGO ARTYKUŁU

La saison bat son plein... W ścisłym przekładzie na język paryskiej rzeczywistości oznacza tych kilka słów zupełną rewolucję życia codziennego. Wierzę święcie, że coroczna katorga wiosennego Sezonu — tego przez wielkie „S“ — zaliczona będzie na Sądzie Ostatecznym najbardziej zakamieniałemu z tutejszych grzeszników dziennikarskich. Pokuta ciężka, miesiące całe trwająca... Żegnaj, wygodna pyjamo! żegnaj, ciszo gabinetu! żegnaj, praco systematyczna!

Zaczyna się to od samego rana, od chwili gdy zjawia się *concierge* z pierwszą paczką listów i gazet. Stos różnobarwnych kopert, ale cóż one zawierają?!... Zawiadomienia o wystawach, koncertach, premjerach, odczytach, konferencjach, posiedzeniach. Zaproszenia na prywatne *jour'y*, okolicznościowe bankiety, reprezentacyjne przyjęcia, oficjalne uroczystości. Stąd, zadanie łamigłówkowe: wszystkie te „obowiązki towarzyskie i zawodowe“ rozmieścić w ramach kalendarza terminowego tak umiejętnie, by nie było ani „zderzeń“ katastrofalnych, ani „odpadków“ obrażających. Zazwyczaj, dochodzi się, po długiem i mozolnem zestawianiu godzin z przestrzeniami, do wniosku, że jest to absolutnie niemożliwe, i że należy kogoś dla czegoś — albo odwrotnie — poświęcić. Zwłaszcza, iż musi się uwzględnić i pisma — a nuż przy ich oglądaniu okaże się, że jeszcze coś trzeba zobaczyć, lub kogoś posłuchać?!...

Na szczegółowe przejrzenie gazet niema oczywiście, czasu. Czyta się po łebkach, zakreślając tylko aktualności paryskie, a więc... Kongres międzynarodowy pod hasłem: „Na pohybel szczurom!“ Dlaczego? Bo są komiwojażerami najniebezpieczniejszych chorób epidemicznych, bo ogryzają nas na wiele miljardów franków rocznie, W jaki sposób je wytępić? Skoro najznakomitsze metody naukowe walki z nimi zawiodły, zwrócić się do dyktatorów mody z prośbą, by zechcieli łaskawie zadekretować, że szczurze futra i torebki stanowią niezbędne akcesorja każdego wykwintnego stroju damskiego. Rada pochodzi od wybitnie złośliwego feljetonisty francuskiego, który daje gwarancje piśmienne, że wtedy szczury, po kilku sezonach, zaliczone będą do kategorji okazów muzealnych. I jeszcze jeden kongres międzynarodowy, pod mniej już wojowniczym hasłem: „Niech żyje reklama!“ Któż się nią posługuje? W tem właśnie sęk, że dziś — bez mała wszyscy, niestety! Każdy sobie... rozgłos skrobie. Każdy pragnie zwrócić na siebie uwagę Paryża przez jedną bodaj chwilę — zasłużyć na wzmiankę w pismach codziennych, na karykaturę w tygodniku humorystycznym, na piosenkę w *revue* kabaretowej... A jeśli, na domiar szczęścia, dzieje się to w czasie głównego sezonu! Przy odpowiedniej wprawie, można wszystko przewalutować na reklamę, — „niech gadają dobrze, niech gadają źle — to nie gra roli, aby tylko wogóle gadali“, jak tłumaczył pewien bardzo doświadczony artysta. Primadonna Opery Wiedeńskiej pani *Jeritza* nie dostała wprawdzie za swoje występy w Paryżu Legji Honorowej, na której efekt w Ameryce liczył jej impresario, ale pisano z tej racji o jej talencie bez porównania więcej i życzliwiej, aniżeli gdyby była ten order — szczyt jej ambicyj — w końcu otrzymała.

Plika najświeższych gazet, poznaczonych czerwonym ołówkiem, nożyce do wycinania sensacyjnych artykułów, maszyna, papierosy — wszystko przygotowane do napisania „oryginalnej korespondencji własnej“. Możnaby już było przystąpić do pracy, gdyby nie istniały telefony. Pierwszy dzwonek — przyjechał znajomy z Warszawy: „od krewnych, przyjaciół i życzliwych—ukłony, od niego zaś osobiście—prośba o wsparcie radą: do jakich teatrów i music-hall'ów warto pójść?“ I zaczyna się wbijanie mu w głowę „gwoździ“ teraźniejszego sezonu. „Jeżeli chcesz zobaczyć rozpaczliwą walkę tinglow. kunsztu ze szminkowaną starością, to idź popatrzyć na *Mistinguette* — broni się jeszcze z wież *„Moulin-Rouge'u“*, ale w *„Palace'ie“... Raquel Meller!* Jeżeli jesteś „cudzoziemcem“, to idź, biedaku, na Mistegetke, jeżeli jednak nie cierpisz na chroniczny snobizm, to życzę ci biletu na *Raquel Meller...* Ponieważ na *„Vient de paraitre“* Bourdet'a i na *„Les Oiseaux“* Zimmer'a już byłeś, więc nie pozostaje ci nic innego, jak sprawdzić osobiście wartość *„Siegfried'a“ Giraudoux*. Ja, co prawda, nie byłem tą sztuką zachwycony — cztery akty duskusyj polityczno - filozoficznych, dyalogów pomiędzy erudytami obojga płci, francusko - niemieckich konfliktów psychologicznych, przybranych literaturą anemicznego sentymentu z lekką domieszką zagadnień freudowskich. Radzę ci jednak stanowczo pójść, bo, nawet będąc złym autorem dramatycznym, jest Giraudoux i w tej sztuce wybitną indywidualnością pisarską. Do widzenia, kończę rozmowę z tobą, bo kto inny się już dobija do mego aparatu!...“

Jakoż istotnie, zaczęła się serja „pogawędek“ telefonicznych na temat najświeższych ewenementów życia paryskiego. Ambasador Stanów Zjednoczonych złożył kartę wizytową *Pawłowi Landowskiemu*, naczelnemu redaktorowi *„L'amitié Française“*, winszując mu świetnego artykułu pod tytułem: *„Les bienfaiteurs étrangers“*, w którym wykazuje, że nie wszyscy cudzoziemcy, mieszkający we Francji, zajmują się bandytyzmem, grabieżami, etc., jak wyrzeka pewien odłam prasy tutejszej. Landowski dowodzi datami, cyframi i faktami, że emigranci bardzo szczodrze odpłacali się za okazywaną im gościnę, przyczem liczne zasługi polskich generałów, dyplomatów, uczonych, artystów, filantropów, etc. podkreśla on ze specjalnym naciskiem. Rozmów telefonicznych było wiele, spraw poruszono jeszcze więcej, tak że przystąpić do pisania artykułu było absolutną niemożliwością aż do południa. A później... Zjeść śniadanie przecież trzeba!... Od pielgrzymki po wystawach człowiekowi wymówić się nie wolno?!... Tembardziej, że są pomiędzy niemi i przez artystów polskich urządzane: Niny Aleksandrowicz, Meli Muter, Riemera i t. d. Jeszcze tylko zjawić się na posiedzenie w sprawie uroczystości Mickiewiczowskich, odsłonięcie pomnika nastąpi bowiem na jesieni, więc należy pomyśleć o wydawnictwach okolicznościowych, przekładach francuskich, odczytach publicznych etc. Po dwugodzinnej naradzie ma się jedynie czas wpaść do domu, przeplatać wkładanie smokinga połykaniem sandwiczów, by zdążyć na „Toskę“ z Kiepurą. Przed wyjściem rzut oka na biurko: zaproszenia, bilety, zawiadomienia i kilka najnowszych książek. Ponieważ moda na życiorysy znakomitych ludzi trwa w dalszym ciągu, więc *„Nouvelle Revue Française“* przysyła doskonałą biografję Lafayette'a, napisaną przez Jacques Kayser'a, pamiętniki Isadory Duncan, smutne dzieje wesołego Beaumarchais, opowiedziane szczegółowo przez René Dalsème'a i ciekawą sylwetkę barona Louis, zręcznie nakreśloną przez J. Gignoux. W bardzo sumiennej *„Panorama de la Musique Contemporaine“* wydanej nakładem Simon Kra, poświęca André Coeuroy kilka stron młodym kompozytorom polskim z Szymanowskim na czele, którego uważa za „jedną z pięknych postaci współczesnej muzyki europejskiej“. Kusić się o napisanie rzeczowej oceny takich książek w okresie wiosennego sezonu nie sposób — później, kiedyś...

Czy można zabrać się do wystukiwania na maszynie artykułu po północy, kiedy człowiek wraca z Opery tak śmiertelnie znużony?! Oczywiście, że nie... I dlatego „List z Paryża“ od własnego korespondenta nie ukaże się tym razem. Chyba, że „Prawda“ zechce wydrukować to moje „prawdziwe“ usprawiedliwienie się z nienapisania artykułu...

(Paryż). *Zygmunt St. Klingsland.*

Jak uregulować produkcję inteligencji?

Celem państwa w zakresie szkolnictwa jest stworzenie takich warunków, aby każdy obywatel, zachowując swoje wartościowe właściwości psychiczne, nietylko znalazł dla nich zastosowanie i przez to osiągnął osobiste zadowolenie, korzyść duchową lub materjalną, ale jednocześnie, aby czuł swą użyteczność jako członek społeczeństwa. Państwo zatem musi zwrócić uwagę na bogactwo środków, przy pomocy których osiągnąć można ten cel. Środki te, to bogata mozaika życia, mieniąca się niezliczonem mnóstwem przejawów. Są to owe rozliczne drogi życia gospodarczego, a więc rolnictwa, handlu, przemysłu, życia duchowego, a więc pracy naukowej, wolnych zawodów, literatury, sztuki, administracji państwa i t. d. Te strony życia decydują o tem, jak należy zużytkować, w którą stronę zwrócić, a nawet w jakiej ilości przeznaczyć młodzież odpowiednio uzdolnioną do tych z istnieniem państwa związanych potrzeb, a wymagających wykształcenia wyższego, niż obowiązkowe powszechne. I tu znowu rozstrzygnąć się musi, ilu państwo potrzebuje ludzi takich, którym wystarczy do spełnienia ich obowiązków szkoła średnia odpowiednio zróżniczkowana, ilu natomiast może być pożytecznych dopiero po skończeniu wyższej szkoły. Więc znów selekcja, której jednak obok psychicznych uzdolnień towarzyszyć musi interes państwa. Dostosowanie sieci szkolnej do tych zagadnień jest nadzwyczaj trudne. Wynikać ono musi z najistotniejszych potrzeb życia, uzgodnić się z polityką duchową i gospodarczą państwa, wziąć pod uwagę nietylko stosunki miejscowe, ale i politykę w stosunku do bliższych i dalszych sąsiadów, wnikać w zawiły splot konjunktur światowych, uwzględnić nie tylko stan obecny, lecz również program na przyszłość, a wszystko to czynić tak, by w rezultacie nie zwichnąć właściwości psychiki narodowej, lecz je umiejętnie wyzyskać i przystosować. Jak dotychczas w tej dziedzinie nie posiadamy nawet na szerszą miarę zakrojonych prac, co gorsze niema nawet odpowiedniego materjału statystycznego, z któregoby można wywnioskować, jak się przedstawia poziom wykształcenia współczesnego pokolenia i o ile on odpowiada potrzebom państwa.

Przy budowaniu sieci szkół wogóle, a zwłaszcza szkół średnich ogólnokształcących, nie można także ograniczyć się tylko do stosunków, panujących we własnem państwie, własne państwo jest bowiem jednem z ogniw olbrzymiego łańcucha, jeśli nie całej ludzkości, to w każdym razie bliższych i dalszych sąsiadów. Musi się zatem liczyć z prądami tam panującemi, z kierunkiem ich rozwoju, musi więc wziąć pod uwagę warunki współzawodnictwa i uodpornienia, by ustalić i zabezpieczyć swój stan posiadania. Z tego zaś wypływa konieczność pewnej elastyczności systemów szkolnych, umiejętności odmładzania się, przystosowywania się, wchłaniania nowych pierwiastków. Te możliwości przetwarzania się i ustosunkowywania się do nowych warunków musi przewidzieć sieć szkolna.

Jednem słowem w tej olbrzymiej, ogólnoświatowej walce o byt musi organizator szkolnictwa orjentować się w rozkładzie sił obcych, w taktyce i strategji oświatowej i na tem tle porównawczem, na znajomości ogólnoświatowego współzawodnictwa organizować swe własne siły. Stąd wynika konieczność znajomości szkolnictwa w państwach innych, co dać może jeszcze i ten zysk, że można kontrolować i badać wartość własnych poczynań. Dla nas zaś ten materjał porównawczy jest tem ważniejszy, że budujemy niemal od fundamentów. Te zestawienia porównawcze mogą odsłonić nam niejeden błąd nasz, niejedną jednostronność, wynikłą ze zbyt uczuciowego traktowania zagadnień szkolnych w pierwszych latach naszego niepodległego bytu, w którym przeważały jeszcze zbyt silne w czasach rozbioru działające uczuciowe nakazy i porywy. Dopiero zczasem uświadomienie sobie nowych form życia, wynikających z faktu niepodległości, wniosło więcej krytycyzmu i realizmu, choć pierwiastki z czasów niewoli jeszcze do dziś dnia nie przestały nami kierować.

Na tych zatem podstawach: właściwościach duchowych danego narodu pod kątem widzenia potrzeb państwa, pojętego z jednej strony jako całość dla siebie zamknięta, a z drugiej jako chcące odegrać swą dziejową rolę i wyzyskać swe żywotne siły ogniwo ludzkości, opierać się muszą główne, wytyczne sieci tak szkół średnich ogólnokształcących, jak wogóle wszystkich typów szkół.

Od rozwiązania tych podstawowych zagadnień zależeć będzie cały ustrój szkolny, a więc pewną myślą przewodnią ożywione ustosunkowanie wzajemne poszczególnych stopni i typów szkół. Chodzi tu tak o jednolitość wewnętrzną, programową, jako o zewnętrzną, organizacyjną. Jeśli zatem chodzi o sieć szkół średnich ogólnokształcących, to zrozumiałą będzie rzeczą, że inaczej musi ona wypaść przy przyjęciu jako podbudowy pewnej części pełnej szkoły powszechnej, inaczej kiedy siedmioletnią szkołę weźmiemy za warunek konieczny, inaczej kiedy szkolnictwo zawodowe oprzemy tylko na powszechnem, inaczej znów, kiedy uznamy za możliwe przejście z pewnych klas szkoły średniej do szkoły zawodowej. Z tego też wynika, że przy układaniu sieci szkół średnich czy też przy określaniu ilościowego zapotrzebowania ich nie jest obojętną rzeczą do dziś nierozstrzygnięta kwestja, czy szkoła średnia ma być ośmio- czy pięcioletnia, czy pewne klasy mają stanowić zamkniętą dla siebie całość i być wyposażone w pewne prawa, czy szkoła średnia ogólnokształcąca ma być również dla siebie zamkniętą całością, wystarczającą dla uzyskania pewnych stanowisk w życiu czy też ma być czemś przejściowem, przygotowawczem do studjów wyższych, czy poszczególne typy szkół średnich mają być w stosunku do szkół wyższych równouprawnione czy też nie. A wreszcie studja wyższe mogą być też rozmaicie ujęte, jako fachowe przygotowanie do zawodu praktycznego lub do twórczej pracy uczonego. Każdy z tych kierunków wymaga innego przygotowania.

Oto są te zasadnicze problemy, które należy rozwiązać przy rozpatrywaniu ilościowego zaspokojenia potrzeb Polski w dziedzinie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego.

Obok zaś tych najogólniejszych, podstawowych, tworzących niejako zasadnicze ramy zagadnień, rozwiązać się musi w zgodzie z tamtemi i inne zagadnienia choć drugorzędne, ale równie żywotne i ważne. I tak np. tak ważny i żywotny jest w Polsce stosunek szkół średnich państwowych do prywatnych i równomiernie ich rozmieszczenie. Stosunki polityczne w okresie zaborów wpłynęły bowiem na to, że zależnie od polityki oświatowej rządów zaborczych rozmaicie ułożyło się szkolnictwo średnie w poszczególnych dzielnicach. Stąd w jednych spotykamy przewagę szkół państwowych, w innych, prywatnych. Analiza tego zjawiska, pomijając fakt obciążenia finansowego mieszkańców województw, opierających się głównie na szkolnictwie prywatnem doprowadza nas do wniosku, że nie możemy nie zdać sobie sprawy z poważnych konsekwencyj, jakie pociągnąć musi za sobą w przyszłości zbyt skąpa liczba szkół państwowych w pewnych dzielnicach, a zwłaszcza w Polsce centralnej. Chodzi zatem tak o równomierność obciążenia obywateli, jak i równomierność udziału ich w ułatwionem zdobywaniu nauki, a stąd w dalszym ciągu o udział w życiu duchowem czy gospodarczem państwa. To samo dotyczy o ile możności równomiernego udziału w szkolnictwie średniem ogólnokształcącem miast i wsi, poszczególnych warstw społecznych, skupień ludności, czy też zbiorowisk kulturalnych lub gospodarczych, czy wreszcie płci obojga, na co też bardzo często w decydujący sposób wpływa nasz stan ekonomiczny, jak np. w sprawie koedukacji, która jako objaw ubóstwa finansowego coraz silniej wyrasta do zasady systemu wychowawczego.

Nadzwyczaj też trudną, ale wymagającą rozwiązania jest sprawa narodowościowa, która rozpatrywana być musi na tle ogólnej polityki narodowościowej państwa. Z tem zaś jest związane zasadnicze zagadnienie, czy szkoła średnia ma być wykładnikiem pewnego poziomu kulturalnego,, czy też czynnikiem, który ma do osiągnięcia tego poziomu dopomóc, na społeczeństwo kulturalnie oddziaływać i podnosić je na poziom wyższej kultury. To poczucie świadomości kulturalnej u poszczególnych narodowości, zamieszkujących państwo polskie, jest różne i dlatego tak trudno zagadnienie to ku zadowoleniu wszystkich rozwiązać. Kiedy np. społeczeństwo polskie, żydowskie i niemieckie, rozumiesiąc wartość szkół średnich, nie czeka na inicjatywę państwa i przez zakładanie szkół prywatnych czyni zadość swej kulturalnej potrzebie, narodowości, zamieszkujące kresy wschodnie i południowo - wschodnie, wykazują pod tym względem bardzo słabą inicjatywę. Jest to bezwarunkowo wyrazem poziomu i zainteresowań kulturalnych poszczególnych narodowości. To też, układając sieć szkół średnich ogólnokształcących, trzeba zająć wobec tego zjawiska stanowisko i określić granice obowiązku państwa w zakładaniu i utrzymywaniu szkół średnich ogólnokształcących, a równocześnie zbadać możność twórczej inicjatywy społecznej czy prywatnej w tej dziedzinie.

Jak zatem widzimy, zagadnienie ilościowego zapotrzebowania szkół średnich ogólnokształcących w Polsce i związane z niem zagadnienie sieci tych szkół wymaga rozwiązania całego szeregu niełatwych zagadnień tak natury psychologicznej, jak też zagadnień, związanych z polityką wewnętrzną i zewnętrzną państwa, z ogólną organizacją szkolnictwa, ze szczegółowemi i ogólnemi zasadami wychowawczemi i t. d. A jak zobaczymy, równie trudne są próby praktycznego rozwiązania.

Tadeusz Czapczyński.

GAWĘDY

Co to jest sprawa żydowska?

— Jestem od miesiąca w kraju — mieszkałam przez kilka lat w Anglji, Francji i Szwajcarji, ostatnio rok cały spędziłam w Genewie...

— Wraca pani z miasta Ligi Narodów, z najciekawszego miasta na świecie, z kolebki nowych prądów i nowych form współżycia narodów i państw a może przyszłej metropolji Europy...

— O tem potem, teraz wolałabym, aby pan pytał mnie o wrażenia moje i wiadomości nie stamtąd, skąd wracam, lecz o wrażenia, jakie odnoszę, wróciwszy po pięciu latach do kraju. To powinno być ciekawsze — wyjechałam przecież podlotkiem, po ukończeniu „pensji" — a wracam jako człowiek dojrzały. O tem zresztą chciałabym raz wreszcie z kimś na serjo porozmawiać.

— Coś za bardzo wcześnie dojrzewają zagranicą młode dziewczyny...

— Ależ ja naprawdę chciałabym poważnie z panem porozmawiać. Więc chce pan dowiedzieć się, jakie wrażenia odnoszę wśród swoich?

— Zamieniam się w słuch, musi mi jednak pani pozwolić usiąść tak, abym mógł patrzeć na tę dojrzałą osóbkę.

— Siadaj pan i używaj pan widoku, papierosy są w pudełku, palić wolno, pozatem uwaga i powaga.

— ...

— Zaczynam. A więc zaledwie od miesięca jestem w kraju i wśród swoich, a już chciałabym uciec zpowrotem w świat i powiedzieć nie „dowidzenia", lecz „żegnajcie!"

— ...

— Zapewne głupstwo jakieś chce pan powiedzieć — uprzedzam pana i wyliczam motywy: Zagranicą nigdzie nie czułam się obcą. Byłam coprawda „etranżerką", ale odczuwał to raczej mój paszport niż ja. Paszport mój był inaczej traktowany niż dokumenty osobiste obywateli miejscowych, ja żadnej różnicy w traktowaniu nie odczuwałam, a przynajmniej żadnej takiej, która mogłaby mi przykrość sprawić, która mogłaby być dla mnie upokarzającą. Byłam człowiekiem, jak każdy inny. W życiu codziennem, w stosunkach towarzyskich, w sali wykładowej na uniwersytecie, na balu, w klubie, w stowarzyszeniu sportowem — nie było między mną a otoczeniem żadnej różnicy. Wyróżniałam się mniej lub więcej korzystnie pod względem kwalifikacyj, jakie w danych warunkach należało wykazać, byłam mniej lub więcej lubiana, ale tylko ze względu na moje osobiste zalety i wady — jednem słowem podlegałam tym samym regułom i prawom, jakim podlegali i podlegają wszyscy w podobnych warunkach. Pojmuje pan?

— Pojmuję, ale nie domyślam się do czego pani zmierza.

— Zaraz się pan dowie. Wróciłam do kraju, zaczyna się wiosna, jestem zapaloną tenisistką, zaczynam się rozpytywać o kluby, znajduję taki, który najlepiejby mi odpowiadał, spotykam znajomego, z którym kilka razy grałam w Londynie — okazuje się, że jest członkiem tego klubu, mówię mu, że chcę się zapisać i pytam o radę, co mam zrobić, proszę, by mnie do klubu wprowadził. Jest ogromnie uprzejmy, mówi mi masę grzeczności, ale gdy przypominam sprawę klubu zdradza jakieś zakłopotanie — zaintrygowana nalegam i wreszcie po godzinie kręcenia i kluczenia dowiaduję się, że do klubu nie będę mogła być przyjęta, ponieważ jestem żydówką. On oczywiście będzie niezmiernie szczęśliwy, jeśli zechcę z nim zagrać. Da się to zrobić nawet na kortach klubowych, chodzi tylko o to, że jest już taka formalność, że żydów się do klubu nie przyjmuje.

— Pro...

— Wiem, wiem co pan chce powiedzieć. Teraz już pan wie, do czego zmierzam, ale jeszcze nie skończyłam. Ta tenisowa sprawa obudziła moją czujność. Mówiłam już panu, że wyjechałam z kraju jako podlotek, ale już rozumiałam pewne rzeczy, a raczej dostrzegałam je. Były w szkole różne historje, niejedna koleżanka, posprzeczawszy się o coś, gdy już wszystkie argumenty wyczerpała, rzucała jako ostatni, zamykający dyskusję: „Żydówka!", nie brałam tego do serca, zdawało mi się, że tak być musi i puszczało się to mimo uszu, tembardziej, że naogół nie było w szkole jakiegoś wrogiego ani nawet niechętnego nastroju wobec żydówek. Było nas zaledwie kilka w całej szkole, a w dodatku nie przyjaźniłyśmy się między sobą. Nie znosiłam moich koleżanek żydówek i miałam może dlatego dużo wyrozumiałości dla koleżanek, które także niechętnie do żydówek się odnosiły. Potem wyjechałam w świat i w ciągu kilku lat nikt mi nie przypomniał, że jestem żydówką. Po tym tenisowym incydencie wszystko to sobie przypomniałam i jeszcze wiele innych rzeczy, które dawniej puszczałam mimo uszu i mimo uwagi. Przypomniałam sobie wiele szczegółów, wyczytanych w prasie krajowej, którą przeglądałam zagranicą, wysiliłam się na dyplomację, żeby dowiedzieć się pewnych rzeczy od ludzi z mojej rodziny i w taki oto sposób znalazłam się wobec tego, co się u nas nazywa kwestją żydowską. Stoję jednak wobec niej dość bezradna. Nie mogę mianowicie zrozumieć, dlaczego ta kwestja w Polsce istnieje, a dlaczego niema jej w państwach zachodnich, dlaczego ja np. w Londynie, w Paryżu, w Genewie byłam tylko panną X dla jednych mniej, dla drugich więcej sympatyczną, ale pozatem tak samo dobrą jak każda inna, znajdująca się na tym samym szczeblu społecznym i towarzyskim, a dlaczego tutaj jestem oprócz tego, a raczej przedewszystkiem żydówką. Jako panna X. miałabym w pewnych warunkach pewne prawa, gdybym nie była żydówką — dlaczego tutaj ta podwójna kwalifikacja, dlaczego tutaj stawia mi się dlatego, że jestem żydówką, w wielu wypadkach przeszkody, których tam mi nie stawiano i których tutaj nikomu innemu się nie stawia? Gdyby chodziło o wyznanie, to musianoby takie same przeszkody stawiać np. bezwyznaniowcom, wyznawcom Islamu itp. — jeśli już przyjmiemy, że wyznania chrześcijańskie bez względu na rytuał są tutaj uprzywilejowane. Ale tak nie jest. Gdyby chodziło o rasę, to musianoby tak samo traktować niemców, rosjan, rusinów, czechów — a widzimy, że tak także nie jest, że nawet w niektórych wypadkach ludzi innej narodowości poprostu się wyróżnia, aby ich zbliżyć i przywiązać do kraju i narodu polskiego. To samo widzimy, biorąc pod uwagę stosunek do rasy. Dlaczego konsulat generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie wydał mi paszport konsularny i zgodnie z mojem oświadczeniem wpisał do odpowiednich rubryk, że jestem narodowości polskiej a wyznania mojżeszowego, a dlaczego władza krajowa mimo mojego protestu i wyraźnego oświadczenia wpisuje mi do krajowego dowodu osobistego, że jestem narodowości żydowskiej? Jakiem prawem odbiera mi się prawo do nazywania

Pamiątki przeszłości w okręgu łódzkim

Piotrków Trybunalski

Warowny gród książęcy, powstał w zamierzchłej przeszłości w zakląśnięciu wyżynnem obok jeziorka leśnego, zwanego obecnie Bugaj. Legenda przypisuje założenie Piotrkowa — Piotrowi Duninowi, legendarnemu także dobrodziejowi klasztorów w Witowie i Sulejowie. Pewnem jest, że w wieku XIII książęta sieradzcy często tu bywali, stąd datowali nadania, tu odbywali sądy, narady i łowy. Niewątpliwie już wówczas rozwinęła się z pod grodzia osada miejska, a także wzniesiono kościół. Oczywiście — odsunęły się te nowe siedziby ludzkie od moczarowatych brzegów Bugaja. Nad tem jeziorkiem w wieku XVI stał drewniany dworzec królewski — służący już tylko celom myśliwskim. Dzisiaj wznoszą się nad wodami mury fabryczne.

Znaczenie Piotrkowa rosło w miarę zcalania się Polski średniowiecznej. Położony na pograniczu Wielko- i Małopolski, na trakcie z Kalisza przez Sieradz od Krakowa, był Piotrków miejscem, dogodnem na rezydencję monarchów w chwili ożywienia politycznego w kraju oraz na miejsce wielkich zjazdów możnowładztwa i duchowieństwa. Łokietek rozpoczyna tu budowę zamku, Kazimierz Wielki kończy i ozdabia rezydencję, wznosi ratusz i okala miasto murem obronnym, a Jagiełło ostatecznie ustala przywilejem stosunki prawne. Niebawem Piotrków staje się miejscem sejmów — niemal do zgonu Zygmunta Augusta, synodów duchowieństwa — od połowy XV wieku przez półtora zgórą wieku, a także trybunałów — od 1578 do końca Rzeczypospolitej. W ciasnym obrębie murów i za murami, w licznych dworcach i dworkach podmiejskich, wre i kipi życie przez cały okres Polski szlacheckiej. Ciągły ruch, ciągłe kontrowersje mnogość i różnorodność ludzi, spraw, intencyj, wartości i ambicyj, fortun i opresyj. Pełne gospody i winiarnie, duży ruch pieniężny w składach kupieckich i u „kauzyperdów", częsty blask dworu królewskiego, hojność monarchów i możnych, wielkie i małe vota ludzi szukających sprawiedliwości — oto dostateczne przyczyny rozwoju i kwitnienia Piotrkowa... Przetrwawszy burze wojenne, ozdobiony sowicie pięknem XVIII wieku, podupadł przecież Piotrków pod koniec tego czasu. Przenikliwy współpracownik Kołłątaja ks. Franciszek Jezierski w książeczce pewnej o stu materjach, właśnie pod tytułem „Piotrków" wysnuł uwagę aktualną, że miasta pasorzytnicze nieprodukujące — podupaść muszą...

W pierwszych latach rządów pruskich Piotrków gościł Kamerę i Regencję, ale potem i to postradał i zeszedł do roli miasteczka prowincjonalnego o świetnej przeszłości. W roku 1867, w dobie najstraszliwszego pognębienia narodu, powstała gubernja piotrkowska i gubernator Kochanow ogłosił miastu początek nowej ery. Niebawem zwalono mury i złośliwie, bezmyślnie lub zgoła głupio oszpecono pamiątki minionego splendoru. Z bizantyjskiej niewoli wyszedł Piotrków okaleczony. Dzisiaj, jak zresztą i w najsmutniejszych czasach, siłami własnemi pieczołowicie ochrania i z zapomnienia lub barbarzyńskiej pokrywy wydobywa skarby ongi jaśniejące.

W południowo - wschodnim narożniku dawnych murów miejskich, na których ocalałym szczątku jest „wikarjatka", — wznosi się piękna i oryginalna Fara piotrkowska. O jej erekcji nie wiemy nic. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta najstarsza w Piotrkowie świątynia sięga fundamentami i niejednym zrębem nawy głównej — wieku XIII. Wydaje się dość prawdopodobną hipotezę zasłużonego historjografa piotrkowskiego p. Michała Witanowskiego, że pierwotna budowla, acz z cegły nie z kamienia, była romańska. Dobudowane w wieku XIV prezbiterjum oraz pułapem zamkniętą nawę romańską pokryto pięknem gotyckiem sklepieniem, dobudowano szkarpy, a wreszcie wysoką wieżę, górującą nad całym miastem. We wnętrzu kościoła i w ornamentacji zewnętrznej występuje renesans i barok, każda epoka kultury zapisała się tu rysem wyraźnym i stoi dzisiaj ten piękny zabytek, starannie utrzymywany, — niby pomnik wiecznotrwały na grobie patrycjata Piotrkowa.

Opodal położony kościół i klasztor Dominikanów jest także fundacją średniowieczną — ze szczodrej ręki Kazimierza Wielkiego. Wykończony około 1340 roku — zgorzał w 1640 i odrodził się niebawem w barokowej szacie; początkowo halowy, uległ przeróbce i dzisiaj jest ciekawą zagadką dla architekta. Wielką ozdobą tej dziwnie skonstruowanej świątyni jest obszerna kaplica Matki Boskiej Różańcowej, łącząca gotyk prawdziwie szlachetny z powabem barokowych sklepień, ozdobionych pięknemi stiukami z połowy XVII wieku.

Fundacje XVII i XVIII wieku zakwitły w Piotrkowie wspaniale. W roku 1673 ostatecznie konsekrowano od kilkudziesięciu lat budowany i pożarami trawiony kościół i klasztor Dominikanek. Świątynia — jednonawowa, rokokowemi ozdobiona motywami, zachowała się dobrze. Budynek klasztorny, oparty na murze miejskim, popadł był przed laty w ruinę; ale go z wielkim talentem dźwignął w roku 1882 budowniczy Feliks Nowicki; dzisiaj gmach ten, w którym mieści się gimnazjum żeńskie, przemawia do widza niewysłowionym czarem przekwitającego renesansu. Pijarzy, osiedlili się w Piotrkowie w roku 1673; niebawem stali się panami bloku kamienic i rozwinęli szkoły, ale dopiero w 1713 wykończyli okazały swój kościół, pięknie chociaż skromnie ornamentowany.
Groźny pożar strawił w roku 1786 całe dziedzictwo Pijarów, porzucili oni zgliszcza i nagie mury, potem przez prusaków obrócone na więzienie. Oddawszy świątynię swą ewangelikom, objęli niebawem bogaty blok klasztorny i kościół właśnie wtedy skasowanych Jezuitów i tu przez lat kilkadziesiąt prowadzili dzieło nauczania. Jezuici, przybywszy do Piotrkowa w cztery lata po Pijarach, otoczeni możną opieką, wznieśli po latach kilkunastu swą siedzibę i kościół, w walce z pożarami wykończyli za sprawą prymasa Teodora Potockiego ostatecznie monumentalną świątynię swą w roku 1733. Ten właśnie kościół jest dziełem sztuki dużej miary. Domniemanym twórcą jego jest autor oryginalnej i świetnej polichromji ojciec Andrzej Ahorn. Gmach kościelny pomyślano niezwykle konsekwentnie — w związku z niskim i stosunkowo szczupłym terenem: mocną ułudę gigantyczności fasady sprawiają przystawione wieże i odpowiednie pilastrowanie. Prostokątne wnętrze trzynawowe tak podzielono sześciu filarami, że utrwala się w oczach widza krzyżowy kształt kościoła. Śmiało i celowo użyte pilastry i arkady wiążą filary ze sklepieniem i harmonijnie towarzyszą architektonicznemu belkowaniu. Pyszny, bogaty fryz, odpowiednio oświetlony lunetami stwarza ramy dla polichromji. Wszystko wiąże się w całość, wszystko świadczy o nieprzeciętnej inteligencji artystycznej i znajomości sztuki budowniczej. Ojciec Ahorn połączył w malowidłach ściennych wielki polot kompozytora, sprawność rysownika oraz wrażliwość kolorysty i stworzył dzieło niezwykłe, godne pracowitej monografji. Obszerny i starannie murowany budynek klasztorny Jezuitów wykończyli dopiero Pijarzy: z jezuickiej epoki budowania pozostały najpiękniejsze części gmachu, później gruntownie oszpeconego przez Moskali. Dzisiaj w murach tych, w których zachowało się jeszcze bardzo dużo charakteru pierwotnego, mieści się gimnazjum państwowe.

Za murami miasta, wśród dworków szlacheckich przedmieścia Rokszyce, zbudowali w latach 1624-1642 popularni wśród średniej szlachty Bernardyni swój klasztor i kościół. Dziwnie bezstylowy, zaciekawia swym porządkiem architektonicznym. Ozdobiony w wiekach późniejszych nieciekawie, a ostatnio nieosobliwie, stanowi jednak w związku z budynkami klasztornemi — niegdyś obronnym bastjonem, — w koronce pięknej roboty kowalskiej, całość miłą dla oka i szlachetną w linjach.

Na przedmieściu Krakówka ocalały także fundamenty kościółka N. M. P. z wieku XIV; ale burze dziejowe i płomienie pożarów starły mury nieomal zupełnie, a odnawianie dokonało reszty. Także z XVI wieku wywodząca się kaplica Świętej Trójcy ze szpitalem przy ul. Nadrowy, odnowiona przez wspomnianego architekta Nowickiego, nie jest już właściwie zabytkiem. Wreszcie zniszczał był wzniesiony w roku 1638 na obszarach Wielkiej Wsi kościół Franciszkanów: rozebrano go w XVIII wieku, a przebudowany gmach klasztorny zamieniono potem na koszary. Tak oto dziewięciu świątyń biedę i wspaniałość opisawszy — odsyłam ciekawych do sumiennego „Przewodnika po Piotrkowie Trybunalskim" pióra wielce zasłużonemu krajoznawstwu i historji regionalnej Michała Rawity - Witanowskiego (Wydawnictwo Oddz. Piotr. Pol. T-wa Krajozn. Piotrków 1923). Niezliczonemi a pięknemi szczegółami wnętrz, szczątkami nagrobków, rzeźbami i obrazami od średniowiecznych włoskich, niemieckich i naszych cechowych poprzez Czechowicza, Plerscha i Smuglewicza do Ceuglera i Hadziewicza, ciekawe ucieszywszy oczy, — wyjść trzeba na Stary Rynek, gdzie ongi wznosił się Ratusz Kazimierzowski, przystrojony w renesansową szatę, z odbudowaną w roku 1611 ogromną wieżą, miejsce trybunałów koronnych; zniesiony w roku 1868 z rozkazu gubernatora piotrkowskiego — z powodu ciasnoty Rynku, pozostał w wyobraźni mieszczaństwa, jako symbol minionej świetności miasta... Dzisiaj szukać trzeba oblicza starego miasta w linjach i ornamentach kamienic, w obszernych „sklepach" podziemnych i dziwacznych podwórcach, a przedewszystkiem w zawiłościach uliczek, wybiegających po dwie z każdego rogu rynkowego — ku dawnej linji murów, ozdobionych pono ongi ornamentem, wzorowanym na kosztownym naszyjniku królowej Jadwigi...

Zanim jednak pożegnać wypadnie to stare miasto, które miało i ma miłośników i kronikarzy swych (Flatt, Stronczyński, Plenkiewicz, Kański, Martynowski, Witanowski i inni), — zatrzymać się trzeba na długą, może najdłuższą chwilę u stóp czcigodnego Zamku Łokietkowego za murami. Wielki czworobok o 2 i pół metrowych murach, bez podwórca, bez okien na parterze, ongi okopany, wodami i bagnami okolony, rozpoczął się za Piastów gotykiem, a dorósł za Jagiellonów pod ręką Berecciego, jako świetny i niezwykły pomnik Odrodzenia. Pięknie ozdobiony, zwłaszcza rzeźbą w kamieniu, bogato urządzony, — był miejscem wiekopomnych narad i sejmów. Potem zniszczony, przez Czarneckiego znacznie obniżony ze względu na obronność miasta — przyodział się jednak pod koniec XVII wieku w barokową jaką taką szatę. Potem podupadł zupełnie... W roku 1868 powtórnie obniżony, przerobiony został na koszary i cerkiew. W latach wojny europejskiej był austrjackim składem benzyny i dopiero w przeddzień Niepodległości przeszedł w dobre ręce: jest dzisiaj w zarządzie Towarzystwa Krajoznawczego i mieści zaczątek muzeum Piotrkowskiego: — odnawia się go powoli i w miarę środków chroni od zniszczenia...

Jakże piękny byłby dzisiaj Piotrków, gdyby miał przez wiek miniony opiekę państwa i roztropny samorząd...

Zygmunt Lorentz.

Radjo

Sezon letni w całej pełni. Połowa stacyj znikła nawet z lepszych odbiorników, a odbiór reszty jest często prawie że niemożliwy z powodu wyładowań atmosferycznych. Nawet Warszawy czasem słuchać nie można, gdyż głośnik zamienia się w karabin maszynowy i trzeszczy aż uszy bolą. A mimo bardzo wysokich nagród, naznaczonych dla wynalazcy, który wynalazłby sposób eliminowania zaburzeń i szmerów atmosferycznych z przewodu antenowego, celem niedopuszczenia ich do odbiornika, jakoś dotychczas nikt tego problemu nie rozwiązał. Wszystkie zachwalane i reklamowane sposoby, środki i urządzenia niewiele pomagają.

Zły odbiór w gorących letnich miesiącach wpływa też na kształtowanie się programów. Studio stacji nadawczej z reguły pustoszeje, a mikrofony przenoszą się na letnie mieszkanie do ogrodów, sal koncertowych, teatrzyków itp. Mikrofon warszawskiej stacji nadawczej przeniósł się w tym roku do Doliny Szwajcarskiej, podobnie jak w roku poprzednim. W tym roku jednak jest w Dolinie bardzo dobra orkiestra i jak dotychczas bardzo urozmaicone i dobremi siłami wykonywane programy. Słuchacze więc raczej zyskują na tem niż tracą.

W przykry sposób odczuwa się **tylko brak koncertu południowego w niedziele i święta.** Koncerty w Filharmonji się skończyły, a Polskie Radjo nie zadało sobie trudu, by na ich miejsce postarać się o inny program np. o orkiestrę wojskową lub coś podobnego. Poprostu zamyka się mikrofon w godzinach południowych i uważa się, że wszystko jest w porządku. A tymczasem niema ani jednej stacji w Europie, która nie uważałaby sobie za obowiązek dać w południe w niedziele i dni świąteczne słuchaczom swoim audycję muzyczną.

Tak samo oszczędzono sobie wydatku na sobotnie produkcje operetkowe. Dolina Szwajcarska jest dobra, ale nie trzeba zapominać, że słuchacz nie siedzi w Dolinie przy kolacji czy szklance piwa, lecz przeważnie w domu i dlatego po pewnym czasie nabiera obrzydzenia do powtarzających się w kółko programów. Sobotnie audycje operetkowe należało bezwarunkowo utrzymać także i przez lato lub zastąpić je podobnemi audycjami z programem np. kabaretowym. Kosztuje to wprawdzie, a Polskie Radjo albo nie lubi wydawać pieniędzy, albo też jest tam z pieniędzmi krucho. Tym sposobem jednak nie rychło doczekamy się miljona zarejestrowanych słuchaczy. A tyle conajmniej powinna Polska mieć i zapewne ma nie o wiele mniej. Marne programy sprzyjają bowiem radjopajęczarstwu. Jest np. sporo ludzi, którzy nabyli odbiorniki słabsze, przy pomocy których odbiór nawet wielkich stacyj zagranicznych jest niezawsze możliwy. Taki człowiek słuchając przez pewien czas tylko Warszawy, raz na zawsze gruntownie jest wyleczony z radjomanji. Aparat wędruje na szafę lub na strych, albo też zapomniany stoi gdzieś w kącie. Gdyby audycje warszawskie były lepsze — byłby się zarejestrował.

Jeżeli w Polsce radjo ma się lepiej rozpowszechnić, to polityka programowa Polskiego Radja musi ulec gruntownej reformie. **Audycje muszą być dostosowane do przeciętnego poziomu szerokich rzesz.** Karmienie robotnika w mieście lub chłopa na wsi muzyką specjalną, od której nawet miłośnicy uciekają, jest nonsensem i to nonsensem dla radja szkodliwym. Takim samym nonsensem jest karmienie go specjalnymi odczytami, których żadne pismo nie drukowałoby, nawet gdyby mu chciano zapłacić, w obawie, że straci wszystkich czytelników.

Aud.

się polką i gwałtem narzuca mi się przynależność do narodowości, z którą nic mnie nie łączy, której kultura i cywilizacja są mi obce, której literatury nie znam, której języka nie słyszałam w życiu — gdy w innych wypadkach czyni się wprost przeciwnie i używa się wszystkich środków i sposobów, aby np. niemca, rosjanina skłonić, by przyznał się do narodowości polskiej?

Jestem doprawdy zdumiony...

— Jeszcze nie skończyłam, niech się pan jeszcze dalej zdumiewa, zgóry jednak oświadczam panu, że komunałami mnie pan nie zadowolni. Gdy pan do końca wysłucha musi mi pan dać odpowiedź taką, w którą pan sam wierzy, albo musi mi pan oświadczyć że się pan od odpowiedzi uchyla. Uprzedzam także pana, że wiele argumentów antyżydowskich znam, lecz do przekonania mi nie przemawiają, jestem więc przygotowana do dyskusji. Pytam więc dalej: Dlaczego żyd na zachodzie bez wyjątków przyznaje się do narodowości panującej w tym kraju, w którym stale zamieszkuje i to nawet żyd-romantyk, który łoży grube sumy na odbudowę Palestyny i finansuje ruch sjonistyczny, a dlaczego u nas ostentacyjnie masa żydów przyznaje się do narodowości żydowskiej, mimo że nawet przez myśl im nie przyjdzie wyemigrować do Palestyny, mimo że nieraz wręcz wrogo odnoszą się do ruchu palestyńskiego i wskrzesicieli narodowego żydowskiego państwa jaknajbezwzględniej zwalczają? I jeszcze jedno pytanie: dlaczego właśnie u nas, a nie gdzieindziej te nacjonalistyczne dążenia żydowskie idą tak daleko, że wielu żydów, skądinąd inteligentów i ludzi kulturalnych, nie waha się proklamować żargonu, który w najlepszym razie jest volapückiem międzynarodowym podobnie jak gwara marynarzy, jako żydowskiego języka narodowego? Czy niema w tem jakiejś ślepej zawziętości, nie liczącej się z niczem — nawet ze zdrowym rozsądkiem, który powinien przecież powiedzieć każdemu, że jeżeli niema widoków wskrzeszenia martwego języka narodowego, to temmniej uda się go zastąpić językiem sztucznym? Jaka jest właściwa przyczyna tej zawziętości? Dlaczego z drugiej strony państwo polskie, zwalczające tak gorliwie wszelkie objawy separatyzmu zachowuje się tak jakby ten jeden separatyzm nawet popierało?

— Czy mogę już mówić?

— A czy wogóle, znając moje zastrzeżenia, decyduje się pan mówić?

— Ależ tak i z przyjemnością prawdziwą. Narazie wprawdzie pragnę pani powiedzieć tylko to, że na dzisiaj rozmowę naszą musimy zakończyć. Wysłuchałem cierpliwie i z uwagą wszystkiego, co pani powiedziała i sądzę, że będę w stanie na najważniejsze pytania odpowiedzieć. Coprawda nie spodziewałem się nigdy, że przyjdzie mi o tych rzeczach mówić z tak czarującą młodą osóbką...

— Wolałby pan pewnie z jakimś brodatym żydem, z cadykiem z Góry Kalwarji albo z jakimś asem sjonistycznym?

— Broń Boże, ani z jednym ani z drugim. Cadyków uważam za oportunistów, z którymi będzie jeszcze sporo kłopotu, gdy rozwój wypadków rozwieje jedną po drugiej z ich oportunistycznych nadziei, a sjonistów uważam poprostu za ludzi złej woli, za rycerzy przemysłu politycznego, którzy doskonale zdają sobie sprawę z tego co robią i doskonale wiedzą, że robią źle. Sjonizm jest produktem epoki romantyzmu i jak prawie każdy z produktów tej epoki, wyzyskiwany jest dzisiaj do celów najpospolitszej spekulacji. Pomówimy o tem jeszcze. Cieszę się naprawdę, że właśnie z panią o tem mówić będę.

— To już muszę się przyznać, że i ja się cieszę. Czekam na telefon od pana, kiedy mam pana oczekiwać — dobrze?

Stanisław Horwat.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

Pod koniec sezonu teatralnego

Kończący się obecnie sezon teatralny z wielu względów zasługuje na uwagę. Przedewszystkiem charakteryzuje ten sezon bardzo poważny wzrost frekwencji w teatrach, w związku z czem umilkła tak ożywiona w ostatnich latach dyskusja na temat kryzysu teatralnego i upadku teatru.

Rozpatrując finansowe rezultaty gospodarki teatralnej w stolicy i w największych miastach Polski w sezonie 1926/27, rok temu na tem miejscu snuliśmy posępne horoskopy na nadchodzący sezon. Zdawało się, że nieuniknionem będzie bankructwo prawie wszystkich teatrów prowincjonalnych, utrzymywanych wyłącznie prawie przez kasy miejskie — ale także tylko do pewnej granicy. Zapatrywania te podzielili najwybitniejsi fachowcy teatralni. Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Teatry miejskie nietylko, że nie zwracały się nigdzie o dodatkowe subsydja, ale tam, gdzie prowadzone są bezpośrednio przez miasta, osiągnęły bardzo znaczne zwiększenie przewidywanych w budżetach wpływów, a tem samem znakomicie zmniejszyły ciężar, ponoszony w ubiegłe lata przez miasta na ich utrzymanie. Teatry prywatne, które bez wiary w powodzenie rozpoczynały sezon, kończą go nietylko bez strat, ale bardzo często z pokaźnemi zyskami.

Gdzie szukać przyczyn tego niezmiernie pocieszającego zjawiska? O jakichś specjalnych zasługach poszczególnych dyrekcyj mówić niepodobna, trudno bowiem wyobrazić sobie, by ci sami naogół ludzie naraz znaleźli tajemnicę powodzenia teatrów, odkryli magnes, który publiczność przyciąga. Nie. Nie robili oni nic więcej ponadto, co robić zwykli zawsze. Grano mniej więcej te same sztuki, które grywało się w latach poprzednich, względnie tego samego rodzaju i tych samych autorów utwory, — grano nieraz przy wypełnionej widowni sztuki, które dwa lata temu nie miały żadnego powodzenia. Jeżeli chodzi o repertuar, to, biorąc generalnie, **uległ on w Polsce raczej obniżeniu niż podniesieniu.** Nie dlatego, że zwrócono się więcej ku komedji i farsie, ale dlatego, że grano przeważnie złe komedje i złe farsy.

A może to właśnie wpłynęło na ożywienie się frekwencji? Może publiczność nasza nie dorosła do repertuaru doborowego? Nic podobnego. Tam, gdzie od czasu do czasu wystawiano utwory repertuaru klasycznego, frekwencja była tak samo liczna. Należy raczej przypuszczać, że **obniżenie repertuaru było wynikiem ożywienia się frekwencji.** Wiele dyrekcyj, stwierdziwszy wzrost frekwencji, przyjęło to z zadowoleniem do wiadomości i postanowiły kuć żelazo póki gorące. Repertuar klasyczny wymaga wielkich kosztów na wystawę, skończono z nim szybko i zaczęto wystawiać rzeczy, których oprawa sceniczna kalkulowała się jaknajtaniej. Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe. Gdy od wielu lat po raz pierwszy zaczął płynąć strumyk gotówki do kas teatralnych, musiała obudzić się chęć jaknajwiększego pogłębienia go. Dyrekcje zapragnęły raz przecież pochwalić się dobremi wynikami finansowemi. Dotychczas zawsze przychodziły z deficytem a złe wrażenie usiłowały zatrzeć, powoływaniem się na poziom repertuaru. Wzruszano na to ramionami i dawano do zrozumienia, że chętnie zrezygnowanoby z wysokiego repertuaru, byle tylko mniej to wszystko kosztowało. Słusznie więc przypuszczano, że o repertuar nikt procesować się nie będzie.

W repertuarze zatem tajemnicy powodzenia nie znajdziemy. Szukać należy jej w gospodarczem położeniu szerszego ogółu. W tej dziedzinie nastąpiła zmiana na lepsze. Nie zwiększyły się tak znacznie dochody, ale **nastąpiła stabilizacja warunków egzystencji.** Przyszły czasy, że można znowu układać budżety domowe bez obawy, że jutro obali wszystkie wyliczenia i wszystkie plany pokrzyżuje. A na to, aby pójść do teatru nie trzeba magnackiego budżetu. Nawet z bardzo skromnego dochodu czy zarobku można wykroić raz lub dwa razy w miesiącu tyle, by starczyło na kupno biletu teatralnego. Jeśli już nie na przedstawienie premjerowe lub zwyczajne wieczorne, to na popularne lub tanie popołudniowe. Musi tylko zaistnieć możność dzielenia otrzymanego zarobku na cały okres, na który powinien wystarczyć. Musi zniknąć niepewność i obawa, że to, co przeznaczamy na jutro, okaże się, gdy to jutro nadejdzie, niewystarczającem, że więc nie wolno zgóry czynić żadnego wydatku na rachunek ewentualnej nadwyżki i zamierzonych oszczędności, lecz stale trzeba posiadać rezerwę na wypadek nagłego i znacznego wzrostu drożyzny.

Taka możliwość zaistniała na dobre w ostatnim roku i to musiało się odbić dodatnio na frekwencji w przedsiębiorstwach rozrywkowych i widowiskowych.

Wzrost frekwencji obserwujemy nietylko w teatrze. To samo, i to w znacznie jeszcze większym stopniu widzimy w kinach, kabaretach, teatrzykach, imprezach rewjowych itp. Tam, gdzie od szeregu lat nie mogło się utrzymać żadne przedsiębiorstwo widowiskowe, gdzie nawet kina musiano likwidować, od połowy ubiegłego roku zupełnie znośnie prosperują imprezy widowiskowe, postawione na poziomie doprawdy nie wyszukanym. I jeżeli w wielu wypadkach jest coś, co publiczność odstręcza od niektórych widowisk, to właśnie ich niski poziom i wulgarność produkcyj. W okresie niepewności i nędzy gospodarczej posuwano się tu i ówdzie aż do otwartej pornografji, by przynajmniej degeneratów zwabić na widownię, i ślady tego pozostały jeszcze tu i ówdzie.

Te nowe warunki stwarzają zupełnie nowe zadania kierownictwom teatrów i kto wie czy nie wymagają nowych ludzi na placówkach teatralnych. Na widowniach zaczyna się pojawiać masa przeciętnej publiczności. Muszą więc zniknąć wszystkie skrajności. Musi zniknąć zarówno teatr o repertuarze, doprowadzonym do artystycznego wyrafinowania, jak również i kult nagości i pornografji. Tak samo jak w organizmie społecznym powoli, ale systematycznie wypełnia się próżnia, jaka istniała do niedawna pomiędzy zwyrodniałą rozrzutnością wojennego i powojennego paskarza i spekulanta, a pomiędzy najskrajniejszą nędzą, padającą z głodu i wycieńczenia na bruku, tak samo jak w ustroju politycznym powoli, ale systematycznie wypełnia się próżnia, która istniała do niedawna pomiędzy biegunowo skrajnemi orjentacjami i poglądami, tak samo i na widowni teatralnej zaczyna wypełniać się pustka, która wiała na scenę, gdy nie grano na niej rzeczy, przeznaczonej dla zmanierowanego i zboczonego smaku artystycznego lub nie schlebiano chuciom i instynktom wyuzdania. Do teatru przychodzi przeciętny człowiek, przychodzi po rozrywkę, pragnie się nauczyć czegoś lub pośmiać. Trzeba przeto, aby z teatru zniknęli ludzie, którzy tego przeciętnego człowieka nie rozumieją i uważają, że istnieje tylko poto, by było komu pieniądze z kieszeni wyciągać, powinni zniknąć z teatru przedsiębiorcy i spekulanci a przyjść powinni wychowawcy.

Z.

„Wiersze zebrane" Juljana Tuwima

„Wiersze zebrane" Juljana Tuwima (Nakład Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1928) to pokaźny, blisko 400 stron liczący tom. Z małych książeczek, których zjawianie się było zawsze wydarzeniem literackiem, zebrała się więc książka „woluminalna", bilansująca pracę kilkunastu lat.

Układ tomu (coś w rodzaju podziału na kategorje treściowe) ujawnia rozpiętość twórczych zainteresowań poety, przyczem autobiograficzność liryki ma w tym zbiorze jakby chronologiczny porządek, poczynając od niepokojów, rzewności i fantastyczności „Dzieciństwa".

Nasuwa to odrazu psychoanalogiczne podejście do twórczości Tuwima. W dzieciństwie bowiem tkwiło już w Tuwimie to, co pozostanie cechą charakterystyczną jego indywidualności poetyckiej. Mam tu na myśli nierozerwalność przeżyć z zasadą psychiczną, która jest niby trwałą, gotową już formą, wchłaniającą w siebie zmienność i płynność materjału twórczego. Tą stałą formą jest właśnie: rzewność, niepokój i fantastyczność.

Nawet rewolucjonizm, wołający głośnym protestem przeciw krzywdzie społecznej nie jest u Tuwima realny, mimo naturalizmu określeń. Przypominam „Mróz nędzarzy", gdzie problem nędzy urasta do obłędnej wizji:

„I niema nas! Pozostał tylko taniec wściekły!
Zmiótł nas wicher upalny w rozkoszy i skwarze!
Patrzcie!! na białym murze został ślad zapiekły:
Krwią w ścianę się wtańczyli na mrozie nędzarze!"

Rzewność, niepokój i fantastyczność spokrewniają Tuwima z Heinem. Z rzewności wynika przecież ta heinowska, rozśpiewana, gładka strofa:

„Nie szperajcie po słownikach,
Nie szukajcie słów szarpiących,
Zaśpiewajmy o słowikach
Śród gałęzi śpiewających."
(„Muza czyli kilka słów zaledwie")

Albo:

„Już mnie znużyły sny o mocy,
Zapałach, szałach, ideałach!
Więc się wyciągam, słodko drzemię
I o niebieskich śnię migdałach"
(„Epistoła sentymentalna")

Niepokój heinowskich snów trapi Tuwima na jawie, wykrzywia się w grotesce codzienności, rozszarpuje metafizyczne niebo, burzy się w rozmyślaniach, musuje w swawolnej radości, podważa koncepcje czynu. Z tych niepokojów jednak wytwarza się właśnie fantastyczność obrazów i kojarzeń, za czem idzie wspaniała wizyjność oraz czarodziejstwo słowa i formy wiersza Tuwima.

W ten sposób musi w rezultacie nastąpić spojenie się iracjonalności treści z realnym kształtem. Dzieje się to niemal według praw przyrody:

„Każde słowo ma korzeń w czarnej głębi ziemi
A, gdy na wierzch wytryska — to zielenią śliską,
A drugie się z niem splata włóknami świeżemi
I rosną w górę razem gałęzią roślistą."
(„Słowo i ciało")

Dlatego też słowo u Tuwima jest prawdą jego rzewności i niepokojów, tak jak gałęzie, liście, kwiaty i owoce są prawdą korzenia, tkwiącego w tajniach czarnej ziemi. Świadomem urzeczywistnieniem mistyki słowa przerósł Tuwim Heinego i skonkretyzował swoją i swojego pokolenia ideę poetycką tak, jak Mickiewicz sformułował i utrwalił ideę uczuciowości romantyzmu.

Można więc powiedzieć, że Tuwim jest poetą „współczesnej rzeczywistości". Nie chodzi tu jednak o zagadnienia tej współczesności, o jej postulaty społeczne, filozoficzne czy religijne. Zawsze przecież kręcą się one w kole możliwości ludzkich, w trójwymiarowej biedocie naszego bytu. Ważny jest tylko wyraz, który ujawni pojęcie, dając mu kształt, barwę, dźwięk, smak i zapach. Więc słowo, które się staje ciałem, zejście słowa między nas, jako cielesna prawda myśli ludzkiej. I tyle tylko zdobywa genjusz każdej współczesności.

Tuwim dał nam właśnie „kult słowa" w rozmiarach nowej wiary, wiary w ziszczenie się spraw tajemnych. Jesteśmy dziś niemal wszyscy piszący wyznawcami religji Tuwima, odprawiamy nabożeństwo słowa, osławione już i piętnowane przez profanów niczem orgje średniowiecznej czarnej mszy.

Jest jednak jeszcze coś, co czyni z Tuwima poetę współczesnej rzeczywistości. Jest to rytm — śpieszny, twardy, pasjonujący się, zachłanny rytm dnia dzisiejszego. Nie ma on nic wspólnego ze zmechanizowaną onomatopeicznością, z tem modnem dziś naśladownictwem warkotu i turkotu maszyn, fabryk, miasta. Rytm Tuwima bije we krwi, jest w jego poetyckiej myśli — pulsem, jest taktem jego serca, młotem mięśni, organicznem życiem słowa:

„Głos — śpiewam, Słowo — tworzę, Mięsień — prężę, Mózg do kości, Wiatr — w oczy, Krok — w ziemię, Tak!". Albo znana i niemal popularna już „Pieśń o Białym Domu": *„A jak stanie dom gotowy, Stupiętrowy Biały Dom, Mało będzie moim snom. Pójdę wyżej, pójdę dalej, bo się białe słońce pali, Pójdę wyżej, zrobię więcej, Stanie pięter sto tysięcy!"*

Nieukrywaną, zuchwałą zdobywczość dzisiejszego pokolenia i jego rewolucyjny niepokój wypowiedział Tuwim szczerzej i piękniej, niż krórykolwiek ze współczesnych polskich poetów. A mimo to zatrzymał Tuwim spuściznę poetyckiej rzewności, tę prościutką piosenkę sentymentalną, drwiącą i łzawą, piosenkę „płaksińską" o miłości, tęsknocie, bólu, radości, zachwycie. Podźwignął z poniewierki cały ten prymitywizm uczuciowy, w małej zamknięty zwrotce, i zawsze na tę samą grający nutę. I dlatego jest Tuwim nietylko dużej miary poetą, ale poetą „miłym sercu".

Herminja Naglerowa.

CZY ŁÓDŹ JEST MUZYKALNA?

Pytanie to tak często obijało się o moje uszy, że w braku tematu w rozpoczynającym się sezonie ogórkowym postanowiłem na nie odpowiedzieć.

Łódź, zwłaszcza ta przedwojenna, ma swoją historję w zakresie muzycznym. Omawiano ją wielokrotnie na łamach pism; znaną jest ona wszystkim łodzianom. Nasz gród fabryczny wydał jednostki, które sławią sztukę na szerokim świecie. Oprócz Artura Rubinsteina, którego nazwisko błyszczy na firmamencie obu półkul, przypomnę i inne, jak Aleksandra Tansmana, Pawła Kleckiego, Karola Szretera, Stanisława Frydberga, Lidji Kindermanówny, Ignacego Hilsberga, Leona Boruńskiego etc., miałaby zatem Łódź prawo do roszczenia sobie wielkich pretensyj pod względem muzykalności.

Kiedy w roku 1916 w teatrze polskim za dyrekcji Leśmiana i Orlińskiego wystawiono „Gromiwoję" Arystofanesa, powołano do skomponowania ilustracji muzycznej do tych czterech obrazów impresjonistycznych łodzianina, Al. Tansmana. Pierwsza piosenka polska w zakresie lekkiej muzy, która dziś — niestety — wyparła muzykę poważną, odbierając jej dominujące stanowisko, powstała również w Łodzi.

Jeżeli wspomnę jeszcze o orkiestrze symfonicznej, która odegrała niepoślednią rolę w życiu i historji naszego miasta, to rzecz prosta, że na pytanie w tytule zawarte, należałoby odpowiedzieć twierdząco. Bo tak było istotnie do roku 1918-go.

Lata powojenne wytworzyły nowe oblicze świata i nowy typ życia, a ten zwycięski i dumny pochód nie przyczynił się do pogłębienia samej istoty człowieka. Współczesny system kulturalny, wyhodowany w atmosferze suchego oportunizmu, zabił w człowieku wszelaką dążność w kierunku sztuki; uczynił go bezdusznym.

Jeżeli bywalca koncertowego w r. 1918 obchodził jeszcze program koncertu, to już w rok później obchodziła go tylko kwestja, ile dolarów dany wirtuoz za występ otrzymuje. Pamiętam, jak siedząca obok mnie osoba na jednym z wielkich koncertów symfonicznych zagadnęła sąsiadkę: „Czy pani też ma abonament, czy przyszła pani dla przyjemności?" Wystarczy zwrócić uwagę na zachowywanie się naszej publiczności na koncertach, by wyrobić sobie zdanie o jej muzykalności. Przedewszystkiem publiczność na koncerty stale się spóźnia, bo wie z doświadczenia, że pierwsze numery programu są zazwyczaj poważniejsze w treści, więc nieciekawe, a ta okoliczność, że defilada po sali w celu odszukania miejsca w czasie grania solisty bądź orkiestry jest niedopuszczalna, mało tych słuchaczów obchodzi. Przybyli oni na koncert, bo należało być, i uważają się za uprawnionych do przeszkadzania wszystkim, bo za bilet zapłacili. Osoby, które tej strawy duchowej łakną, chodzą zazwyczaj na galerję lub do ostatnich rzędów krzeseł, bo tam się słucha spokojniej, niż w pierwszych rzędach, gdzie często w chwili, kiedy strojnie ubrana śpiewaczka odtwarza arję operową, mąż zapytuje żony, mającej program w rękach, z czego to jest, a ta mu odpowiada: z „crêpe georgetty". Bo do serca tej publiczności trudno przemówić wyrazem subtelnym sztuki, a należałoby rzucić raczej jakieś cekiny wirtuozowstwa, raczej jakieś zwrotki banalne piosnki kabaretowej, niż perły artyzmu.

Miasto nasze pozbawione zostało nagle jednej z najpoważniejszych w kraju placówki muzycznej, która święciła już uroczyście X-lecie swej działalności. Zamilkła orkiestra, zduszona pod kloszem obojętności ogółu; zamilkło towarzystwo miłośników muzyki, krzewiące muzykę kameralną; zamilkły rozmaite towarzystwa śpiewacze. A to są wymowne świadectwa amuzykalności dzisiejszego społeczeństwa, któremu radjo i gramofon wystarczają i w zupełności koncert zastępują. To zmechanizowanie i automatyzowanie sztuki muzycznej niewątpliwie przyczyniło się do obniżenia smaku artystycznego, a jednocześnie jest dowodem niewyrobienia słuchowego i małej muzykalności w najogólniejszem pojęciu.

Łódź stara się zresztą naśladować większe środowiska, a w zakresie wytwórczości nawet niekiedy je wyprzedza. Pozatem w Łodzi, jako mieście fabrycznem, idzie wszystko sezonami. W tym roku „odchodzi" taniec, którego „podaż" jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do „zbytu" muzyki.

Mamy niepłonną nadzieję, że to się zmieni i to w niedalekiej przyszłości.

Feliks Haloern.

FILM

NOWE POLSKIE FILMY.

Jeżeli brać na serjo także i rozgłaszane zapowiedzi, to w chwili obecnej przygotowuje się ośm nowych polskich filmów. Oznaczałoby to dość znaczne ożywienie się ruchu wytwórczego w polskiej kinematografji i byłoby objawem wysoce pocieszającym. Jeszcze wprawdzie nie można będzie mówić. nawet po urzeczywistnieniu się tych planów, o jakimkolwiek wpływie polskiej wytwórczości filmowej na rynek krajowy, ale w każdym razie byłby to już wcale niezły początek, zasługujący tembardziej na uwagę, że, jak wiadomo, kapitał polski daleki jest jeszcze od tego, by szukać lokaty w tak mało znanej gałęzi wytwórczości. Jeżeli coś się w tej dziedzinie robi, to bierze w tem udział kapitał, który możnaby nazwać amatorskim. Pomocy rządowej także obecnie niema w stopniu, godnym uwagi.

Jak wspomnieliśmy przygotowuje się obecnie ośm filmów polskich. I tak jedno z przedsiębiorstw filmowych „kręci" przeróbkę powieści Zarzyckiej p. t. **„Dzikuska"**. Film ten reżyseruje p. Henryk Szaro, a rolę główną powierzono p. Sawanowi, znanemu z filmu „Huragan". Ten sam reżyser przygotowuje również do sfilmowania **„Przedwiośnie"** Żeromskiego, także z p. Sawanem w roli głównej.

Reżyser Trystan przygotowuje się do sfilmowania powieści Prusa p. t. **„Dusze w Niewoli"**, a przedsiębiorstwo kinematograficzne „Starfilm" zamierza sfilmować **„Pana Tadeusza"**. Reżyserowałby ten film p. Ordyński, który spreparował **„Trędowatą"** dla filmu.

Wytwórnia „Sfinks" projektuje film podług scenarjusza Kiedrzyńskiego **„Tajemnica Starego Rodu"** — oczywiście ze Smosarską w roli głównej.

Reżyser Lenczewski kończy **„Romans Panny Opolskiej"** według Zapolskiej, a reżyser Gardan obraz p. t. **Kropka nad i"**. Scenarjusz tego ostatniego obrazu ma być podobno wysoce interesujący.

Reżyser „Huraganu" p. Lejtes przygotowuje scenarjusz nowego filmu o motywach wojennych. Tymrazem tłem ma być wielka wojna. Tytuł filmu jeszcze nie jest ustalony. Prawdopodobnie nazwany będzie **„Wiosna idzie"**.

Z tego pobieżnego przeglądu najbliższych zamierzeń polskiej wytwórczości filmowej widać, że wytwórczość ta przechodzi drugi i może już ostatni okres ząbkowania. Najpierw nie umiano sobie u nas wyobrazić filmu, w którym wszystkie role, do najdrobniejszych, epizodycznych, włącznie nie byłyby obsadzone przez popularnych artystów teatralnych. Film polski trzymał się teatru, tak jak dwuletnie dziecko trzyma się maminej sukni. To już powoli mija i tylko jeszcze niektóre niedołężne wytwórnie trzymają się fartucha teatralnego.

Obecnie zaczyna się drugi okres: **prawie każdy film polski stanowi przeróbkę jakiejś powieści.** Dziecko nauczyło się już jakotako chodzić, ale jeszcze nie umie się samodzielnie wyjęzyczyć, jeszcze musi mieć jakąś paniąmatkę, za którą powtarzałoby pacierz. Trudno też oczekiwać, by „pacierz" nie ucierpiał poważnie w recytacji sepleniącego dziecka. Ale i to minie. Tu i ówdzie już słychać mowę samodzielną, a wszelkie oznaki pozwalają mieć nadzieję, że film polski będzie miał wiele bardzo interesujących rzeczy do powiedzenia. Że wspomnimy tylko taki np. „Huragan". Zapomniawszy o wielu jego usterkach, rażących polskiego widza, jako robota i koncepcja film ten stał na wysokim poziomie. To też z największem zainteresowaniem oczekujemy pojawienia się dwuch ostatnich z wymienionych filmów, mianowicie „Kropki nad i" i „Wiosna idzie". Na nich bowiem będziemy znowu mogli obserwować próbki polskiej twórczości filmowej.

KSIĄŻKI

BANK POLSKI 1828—1928.

Dla upamiętnienia stuletniego jubileuszu otwarcia Banku Polskiego, Dyrekcja tej instytucji wydała dużych rozmiarów dzieło, zawierające historję Banku Polskiego od chwili powołania go do życia w r. 1828 aż do ostatnich dni w r. 1928. Materjał opracowany został przez Biuro Ekonomiczne Banku Polskiego, głównie jednak przez pp. D-ra Buczkowskiego i D-ra Nowaka. Przedmowę napisał Prezes Rady Banku p. Stanisław Karpiński.

Dzieło to nie może być przyrównywane do obligatoryjnych jubileuszowych wydawnictw. Jest to poważna, źródłowa i bardzo gruntowna praca historyczna i ekonomiczna o trwałej i bardzo wysokiej wartości. Treść ilustrowana jest starannie sporządzonemi wykresami, wykorzystany został bogaty materjał archiwalny i samo zebranie i uporządkowanie tego materjału stanowi już trud i zasługę nielada.

Przytem wszystkiem książka otrzymała zbytkowną szatę. Tłoczona jest na najlepszym ilustracyjnym papierze, ozdobiona mnóstwem artystycznych reprodukcyj sztychów, portretów, fotografij i rycin, odnoszących się do historji Banku oraz wieloma tablicami z reprodukcjami monet polskich z epoki Stanisławowskiej i epok późniejszych, a wreszcie reprodukcjami wszystkich polskich pieniędzy papierowych, jakie tylko w tym stuletnim okresie zostały na ziemiach polskich wypuszczone, książka ta jest doprawdy bogatym podarunkiem Banku Polskiego dla społeczeństwa. Na taki dar może się zdobyć narazie tylko Bank Polski — i dobrze uczynił, że się nań zdobył. Z prawdziwem wzruszeniem patrzymy na monumentalną w swej kompozycji kartę tytułową tego dzieła i złotem wytłoczone cyfry „1828—1928". Tragiczny szmat historji narodu polskiego zamknięty został w granicach tych dwuch cyfr, ale i chwile najwznioślejsze. Bank Polski i owoce jego działalności należą do najdroższych skarbów, które z tego okresu uratowaliśmy, aby zrobić z nich kamienie węgielne odzyskanej niepodległości.

JACEK.

Juljusz German — J a c e k — Powieść o prześlicznym chłopcu. Warszawa 1928. Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Str. 290.

Akcja pierwszej części tej najnowszej powieści Germana, albo jak się powszechnie mówi autora „Iwonki" — rozgrywa się w Paryżu. I ta część jest bardzo dobra. Historja miłości dwojga młodych i pięknych ludzi: Jacka i holenderki Maren, jest prawdziwym poematem. Nie zawsze wprawdzie jest w życiu tak jak opowiada German, ale od poety nie żądajmy, aby twory swej fantazji „uzgadniał" z rzeczywistością. Szkoda nawet, że German usiłuje to czasem uczynić, bo bohaterom jego chwilami bardzo z tem nie do twarzy, że postępują tak jak ludzie. Część druga odbywa się w kraju. Tu już jest trochę gorzej. Czuć Mniszkównę. Jest więc siedziba magnacka, jest „trędowaty", jest oczywiście kary ogier, którego nikt jeszcze dosiąść nie potrafił, dopóki nie zjawił się bohater — a ponieważ rzecz dzieje się współcześnie, jest także stukonny Bugatti i są panny, które nocami składają wizyty w kawalerskich pokojach.

Książka będzie miała powodzenie. Pensjonarki i podlotki z rąk do rąk sobie ją będą wyrywały. A ile to elektryczności wypali się po nocach w panieńskich pokoikach! „Rój" wydał ją bardzo ładnie.

SZTUKA LUDOWA NA PODHALU.

St. Banasz — „Sztuka Ludowa na Podhalu" — Część I i II, Spisz i Orawa. Lwów, Książnica-Atlas.

Piękna teka, zawierająca trzydzieścikilka luźnych tablic z doskonałemi reprodukcjami okazów sztuki ludowej Spisza i Orawy. Dla miłośników zdobnictwa ludowego, rzecz nieoceniona, gdyż rysunki zwłaszcza mebli domowych, sprzętu kuchennego, rzeźb w drzewie itp. wykonane są w skali, a niektóre bardziej skomplikowane szczegóły i motywy specjalnie są rozwinięte w oddzielnych rysunkach, tak, że tablice te doskonale nadają się do użytku np. przy urządzaniu wiejskich siedzib i stylowych wnętrz.

Prócz tablic teka zawiera krótki, bardzo przystępnie napisany i bardzo treściwy wykład o sztuce ludowej na Spiszu i Orawie.

MGŁA.

Miguel de Unamuno — M g ł a — z upoważnienia autora przełożył z hiszpańskiego Dr. Edward Boye. Warszawa 1928. Towarzystwo wydawnicze „Rój". Str. 202.

Powieść w dyalogach — od pierwszej do ostatniej stronicy, niemal bez przerwy ktoś z kimś mówi. A rozmowy te bardzo przypominają pryncipialne ględzenie postaci, tak dobrze znanych z literatury rosyjskiej. Nic dziwnego, że Unamuno wprowadza do akcji psa, z którym najczęściej i najwięcej rozmawia jego bohater. Bo też trudno przypuścić, by wśród ludzi znalazł chętnego słuchacza. Tłumacz, p. Boye, twierdzi w swej przedmowie, wzorowanej na przedmowach Boya, jakiemi ten pisarz poprzedza każdą książkę przez siebie tłumaczoną, że powieść ta jest powieścią ironiczną, że Unamuno przeciwstawia w niej zdrowy psi instynkt rozumowi ludzkiemu. Zgoda na powieść ironiczną, ale Unamuno zgoła co innego chciał wydrwić. Wydrwić chciał niezawodnie swego bohatera, szukającego w życiu tylko tematu do gadania. Ludzie uciekają od niego, na jego widok stukają się w czoło, kobieta, która pragnie być jego kochanką, osądza go niedołęgą i zwraca w inną stronę swoje zapały, a narzeczona w przeddzień ślubu ucieka z kim innym, należycie się przedtem zaopatrzywszy jego kosztem i staraniem. Intelektualny niezdara i niedołęga życiowy schodzi na psy i po psiemu kończy.

„Rój", jak zwykle przy swoich droższych wydawnictwach, dał książce ładną szatę, dobry papier i efektowną okładkę. Przekład bardzo staranny.

INNE NOWE WYDAWNICTWA „ROJU".

Nakładem „Roju" w serji abonamentowej po 1.95 zł. za tom, ukazała się jedna z lepszych powieści Jacka Londona p. t. **„Córka Śniegów"**. Rzecz dzieje się na Alasce w środowisku poszukiwaczy złota, a więc w środowisku, dla którego London jest klasykiem. Rzecz ta ukazała się w dwuch tomach. Wydana jest jednak mało starannie, gdyż nie uważano za stosowne uskutecznić podziału na dwa tomy, lecz poprostu wydrukowano powieść w całości, odliczono arkusze, połowę oprawiono w jeden tom, a drugą połowę w drugi. Drugi tom zaczyna się tak jak dalszy ciąg romansu odcinkowego niemal że w środku zdania i nawet karty tytułowej nie otrzymał.

W tej samej serji ukazała się sensacyjna powieść Waltera Angel p. t. **„Na arenie cyrkowej"** — w anonimowym, ale nienajgorszym przekładzie.

W serji trzydziestogroszowej bibljoteczki historyczno-geograficznej „Roju" ukazał się jako 98-my tomik wyjątek z opublikowanych niedawno w Rosji pamiętników Borysa Sawinkowa. Tomik zawiera rozdział, dotyczący zamachu na Wielkiego księcia Sergjusza i zatytułowany jest **„Jak zabiliśmy W. Ks. Sergjusza"**.

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Nadprodukcja czy zastój?

Na marginesie sytuacji naszego włókiennictwa

W związku z panującemi obecnie we włókiennictwie niepomyślnemi konjunkturami bardzo się teraz hojnie szafuje w słowie i piśmie wyrazem: nadprodukcja. I jakkolwiek trudno zaprzeczyć, iż chwilowo naprawdę miara wytwórczości przewyższa zdolność spożywczą, niemniej jednak nadużywanie terminu „nadprodukcja", będącego również wyrazem nierównowagi **stałej**, prowadzić może do bardzo niepożądanego urobienia się fałszywego stosunku opinji do tak poważnej dziedziny gospodarczej, jaką jest włókiennictwo.

A przytem głębsza nieco analiza naszych warunków prowadzi do nieomylnego wniosku, że o nadprodukcji stałej, przynajmniej w dziedzinie wyrobów bawełnianych, mowy u nas być nie może. Popyt, którego byliśmy świadkami w roku 1927, a który wymagał maksymalnego napięcia naszej zdolności wytwórczej, jest tego najlepszym dowodem. Nie może być przecie wątpliwości co do tego, że ogół społeczeństwa polskiego nie zaopatrzył się w ciągu tego roku w obfite jakieś zasoby tkanin. Poprostu, po 2 latach (od połowy 1924 do połowy 1926) przymusowego wstrzymywania się od wszelkich nakładów i wydarcia się z całej odzieży i bielizny, szersze warstwy społeczeństwa wobec sprzyjających warunków ogólnej naprawy gospodarczej, nabyły dla siebie co najniezbędniejsze i najpilniejsze, dalekie od możności zapełnienia szaf i skrzyń jakiemiś na szerszą skalę i przyszłe potrzeby wymierzonemi zasobami.

Skoro jednak tego starczyło dla utrzymywania całości warsztatów wytwórczych w pełnym ruchu przez blisko półtora roku — to jasnem jest, że gdybyśmy nie byli społeczeństwem na dorobku, lecz mogli sobie pozwolić na stałe i regularne zaspakajanie najpilniejszych potrzeb, aparat wytwórczy włókienniczy mógłby stale być dla samego tylko rynku wewnętrznego utrzymywany w pełnym ruchu. Jeżeli się w tym roku nie powtarza to samo, co było w zeszłym, to dlatego, że przy naszym stanie ogólnego ubóstwa każdy poważniejszy sprawunek stanowi inwestycję, po dokonaniu której olbrzymia większość spożywców ani myśli o nowym zakupie aż do dojścia poprzedniego do stanu zupełnej nieużywalności.

I kogo od nowych nakładów na potrzeby odzieżowe nie powstrzymuje, konieczność opędzenia wydatków innego rodzaju, ten woli wolny grosz odłożyć, czego wymownym dowodem są **wzrastające drobne oszczędności** w kasach publicznych.

Zdaje nam się, że tak, a nie inaczej tłumaczyć sobie należy obecny zastój we włókiennictwie, wspomagamy nadomiar silnie fatalnym układem tegorocznych warunków atmosferycznych. Jeżeli jednak tak jest, to alarmowanie opinji uporczywem sygnalizowaniem nadprodukcji, jako objawu groźnego, wydaje się przesadą. Zapewne, że nie można przewidzieć, jak długo ten bardzo ujemny wprawdzie, ale niewątpliwie przejściowy objaw potrwa i kiedy przeminie. Czy jednak z tego wynika, że przemysł, powinien zareagować na to jakimś zbiorowym odruchem masowego i planowego skontyngentowania wytwórczości? Raczej nadobre zatrzymać pewną ilość warsztatów i pozamykać poszczególne oddziały, aniżeli redukować wytwórczość przez ograniczanie ilości dni pracy w tygodniu? Czyż nie jest i **społecznie i gospodarczo lepiej,** że dzieje się tak, jak się dzieje, t. j. że każdy zakład pracuje tyle, ile według swojej oceny możności zbytu pracować może?

Najciekawszem jest, że tego rodzaju rady pod adresem przemysłu skierowują pisma o zabarwieniem radykalnem w całkowitem zapoznaniu tego, że zastosowanie się przemysłu do tych wskazówek, nie mogłoby nie być połączone i **z najujemniejszemi wynikami dla robotników,** i z największą **groźbą dla poziomu cen.** Jeżeli więc kto, to tylko przemysł sam ze względu na swoje ubóstwo kapitałów i swą nierentowność, najbardziej cierpi nad tem, że **nie może** pójść za tą radą i własnemi stratami okupywać musi takie sporadyczne kryzysy rynku wewnętrznego. Ale zarówno robotnik, nie tracący przynajmniej całkowitego zarobku, jak i ceny wyrobów, dławione przez wzmożoną podaż, i zdolność zwiększenia produkcji w każdej chwili w razie ujawnienia się wyższego zapotrzebowania — tylko na tem zyskują.

Mimochodem poruszył tę sprawę w swem sprawozdaniu za I kwartał r. b. i **doradca rządowy, p. Dewey,** w rozdziale omawiającym położenie kredytowe. **Djagnoza jego nie jest jednak słuszna,** gdy twierdzi, że istnieje **„historyczna przyczyna przedłużania terminów płatności, należałoby jednak oprzeć się tej tendencji".** Ani bowiem wydłużanie terminów pokrycia za nabyty towar włóknisty (bo zdaje się, że to właśnie ma w tem miejscu na myśli) nie jest tylko wynikiem dawnej tradycji, czego najlepszym dowodem jest, że terminy wydłużały się stopniowo i zwolna, — ani też nie brak oporu ze strony przemysłu szerzeniu się tego objawu sprzyja. Analiza tego stanu rzeczy, niezbicie udawadniająca **niesłuszność tezy p. Dewey'a,** zaprowadziłaby nas zadaleko, bo trzebaby dla jej przeprowadzenia sięgnąć bardzo głęboko **do zupełnie swoistej sytuacji zarówno naszego przemysłu, jak i handlu.** Poprzestajemy zatem na stwierdzeniu, że przyczyny leżą znacznie głębiej i ich zwalczanie znacznie jest trudniejsze i mniej od woli ludzkiej zależne, aniżeliby się to z djagnozy doradcy rządu wydawało. Dalecy od chęci krytykowania go — zwłaszcza, gdy chodzi o ubocznie tylko i przygodnie wypowiedzianą uwagę, sądzimy jednak, że p. Dewey, przyzwyczajony do myślenia odrębnemi, wśród innych zupełnie warunków gospodarczych urobionemi kategorjami, **może i ma prawo nie wnikać w tak bardzo swoiste warunki nasze.**

Tem bowiem tylko oraz **nieznajomością włókiennictwa, do której się przyznaje,** wytłumaczyć sobie można opinję, że „każdy przemysł ma obowiązek stworzenia instytucji badania rynków w celu uniknięcia nadprodukcji". To zaś, w związku ze zdaniem, że „brak odpowiedniej organizacji grozi stałem niebezpieczeństwem nadprodukcji", prowadzi do domniemania, że p. Dewey nie oparł swej opinji na głębszej analizie i że wypowiedział ją jedynie na **podstawie symptomatów chwilowych, które wbrew słuszności uważa za stałe** i wywołane utratą rynku rosyjskiego. Wszelako pamiętać i podkreślić należy, że p. Dewey rzuca te uwagi w pewnym nierozerwalnym związku z całokształtem swego sprawozdania, mianowicie pod kątem widzenia utrzymywania się nadmiernie wysokiej prywatnej stopy dyskontowej i niebezpieczeństwa **„obciążenia ograniczonego kapitału obrotowego kraju dodatkowym ciężarem w postaci nagromadzonych towarów"** na składach wytwórców.

W tym całokształcie uwagi te są jak najbardziej słuszne i na miejscu, fałszywem jednak byłoby traktować je w oderwaniu od całości, lub interpretować, jako wyraz opinji tego autorytatywnego rzeczoznawcy o organizacji przemysłu włókienniczego wogóle, a o nadprodukcji włókienniczej w szczególności.

M. B.

Listy do „Prawdy"

Sprzeczności

Kilka słów w kwestji węglowej

W związku z artykułem p. t. „Sprzeczności", zamieszczonym w Nr. 22 „Prawdy" otrzymujemy od p. Markiewicza, Prezesa Konwencji Węglowej Dąbrowsko - Krakowskiej następujące uwagi:

Szanowny Panie Redaktorze,

Od początku istnienia czasopisma Pańskiego czytuję w nim uważnie artykuły treści ekonomicznej, znajdując w nich dużo oryginalnych, świeżych myśli i wytrawny pogląd na objawy życia naszego gospodarczego.

Z pewnem więc zdziwieniem znalazłem w N-rze 22-im z 27 maja r. b. artykulik, zatytułowany „Sprzeczności", którego autor broni interesów kupiectwa krajowego wobec nieodpowiedniej, zdaniem jego, polityki gospodarczej Rządu.

Jest to jego dobre prawo i nie możnaby mu nic zarzucić, gdyby nie puścił się na zdradne flukty krytyki stanowiska władz państwowych wobec całości gospodarstwa narodowego. Jest to teren bardzo trudny i tylko ogromnie wytrawny żeglarz odnajdzie na nim, bez pilota, właściwy far-watter.

Pilotem tym wobec wspomnianego autora ani być zamierzam, ani mam do tego prawo. Nie mam również ambicji ani bronić wobec niego postępowania Rządu, ani, wraz z nim krytykować jego poczynania.

Wszelako, ponieważ autor zaczepił, pomiędzy innemi przemysłami, rzekomo przez Rząd popieranemi, również węgiel, który mnie bliżej obchodzi, pragnę niektóre jego poglądy, zdaniem mojem mylne, niniejszem — sprostować.

Autor omawianego artykułu jest zdania, że „nasz spauperyzowany konsument zmuszony jest odbierać (chyba: odejmować) sobie ostatni kęs od ust po to, by przemysłowcy węglowi... mogli exportować swój towar za granicę", Zapytuje dalej, — czy pożądanem by było, „by koleje ponosiły stumiljonowe straty na rzecz przemysłu węglowego" i czy to uprawnia „do obarczania przeciętnego obywatela podwyżką taryfy osobowej? Podwyżką cen węgla?" — „Czy wystarczy nam tutaj gołe (niewątpliwie: gołosłowne) twierdzenie p. min. Kwiatkowskiego, że koszty walki o utrzymanie zdobytych rynków zbytu musi ponosić głównie konsument krajowy?" Wreszcie: „A czyż polityka dumpingowa, dokonywująca się kosztem właśnie konsumenta, zwiększy jego siłę kupczą?"

Otóż to, co tak fascynująco powiedziano o tym „ostatnim kęsie", jest tylko — czystą poezją. Opał w budżecie domowym, zwłaszcza ludzi niezamożnych, nieznaczną tylko odgrywa rolę i nawet względnie wydatna podwyżka jego ceny, nikogo ani jednego kęsa strawy nie pozbawi. Znikomą też rolę gra jego cena w obliczeniu kosztów własnych większości przemysłów. Konsument nie będzie więc głodował, by przemysł węglowy mógł sobie pozwolić na wątpliwą bardzo przyjemność wywozu swego produktu na rynki światowe. A właściwie na niewątpliwą nieprzyjemność, bo węgiel na rynkach zamorskich sprzedajemy dziś, dzięki zaciekłej walce z Anglją, z czystą dla nas stratą. Sprzedajemy, bo sprzedawać musimy dla trzech bardzo ważnych powodów:

Po pierwsze, by, przy możliwem zwiększeniu produkcji kopalń, możliwie obniżyć koszty własne i przestać tracić, lub nie zarabiać na rynku wewnętrznym dzięki za niskim na nim cenom; to jest powód, obchodzący w pierwszym rzędzie same przedsiębiorstwa kopalniane, ale, w drugim, i Państwo, któremu nie może być obojętny upadek jednego z podstawowych jego przemysłów.

Powtóre — exportujemy węgiel, by możliwie przyczynić się do osiągnięcia równowagi, lub, uaktywnienia naszego państwowego bilansu handlowego; skoro Państwo musi importować rozmaite towary, musi również, możliwie dużo swoich exportować.

Potrzecie — wywozimy nasz produkt, aby dać zajęcie licznym rzeszom robotników i zmniejszyć tym sposobem, grożące niebezpieczeństwo społeczne, płynące z bezrobocia i związanej z niem demoralizacji mas. Ostatnie dwa powody obchodzą w pierwszym rzędzie Państwo, w drugim dopiero górnictwo, jako część składową ogólnego gospodarstwa narodowego.

Co ma za znaczenie łączenie przez autora podwyżki taryfy osobowej na kolejach, ze sprawą exportu węgla, nie mogę zrozumieć.

Nie mogę też pojąć, gdzie szanowny autor omawianego tu artykułu znalazł, że koleje ponoszą „stumiljonowe straty" na rzecz przemysłu węglowego (?!) Dotąd, o ile mi wiadomo, było wprost przeciwnie: koleje miały wielomiljonowe zyski dzięki niepomiernie niskim cenom, jakie płacą za węgiel.

„Gołe" (rozumiem: gołosłowne) twierdzenie p. ministra Przemysłu i Handlu, że koszty walki o zagraniczne rynki zbytu musi ponosić kraj cały nie jest wcale gołosłowne: nietylko dla uczonego teoretyka, ale dla każdego homme d'affaires jest to twierdzenie axyomatem. Na rynkach światowych my cen węgla dyktować nie możemy, a już zwłaszcza podczas walki z konkurencją. Jeżeli więc węgiel na nie wysyłamy, dla dobra całego kraju, sprzedawać go ze stratą, to słuszną jest chyba rzeczą, żeby i tenże kraj, straty z tego tytułu wynikłe, kopalniom choć w części, zwracał. Tak się dzieje we wszystkich exportujących swe produkty państwach.

Czy polityka dumpingowa zwiększy siłę kupczą konsumenta (rozumiem — krajowego) — odpowiedzieć trudno. Jeżeli jednak podwyższy ona, lub choćby tylko utrzyma dotychczasową ilość rąk zarabiających, to tem samem podwyższy, lub utrzyma dotychczasową ilość konsumentów innych krajowych wytworów. Z ustaniem wywozu węgla i skurczeniem się produkcji, zwolnionych zostałoby tysiące robotników, których siła kupcza spadłaby prawie do zera, co dla wielu naszych przedsiębiorstw nie byłoby chyba obojętne.

Walkę z naszym zamorskim konkurentem prowadzimy, i nawet, jak teraz, à outrance, dlatego, by móc kiedyś zaszczytny zawrzeć pokój. Są szanse, że do niego dojdzie, może nawet wcześniej, jak myślimy. I może dojść do jakiejś entente cordiale pomiędzy nami i przemysłem W. Brytanji, co, jeżeli się stanie, może poprawić ciężkie dzisiejsze położenie górnictwa i tem samem sprawić, że i ono i pracownicy jego staną się lepszymi, jak dziś, konsumentami wytworów innych ojczystych przemysłów.

Raczy Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania

Markiewicz.

ANKIETA MIĘDZYNARODOWEGO BIURA PRACY W SPRAWIE PŁAC I CZASU PRACY W KOPALNIACH WĘGLA.

Międzynarodowe Biuro Pracy ogłosiło interesujące wyniki ankiety w sprawie płac i czasu pracy w kopalniach węgla, którą przeprowadziło w myśl wniosku Międzynarodowej Federacji Górników na zasadzie decyzji powziętej przez VII Międzynarodową Konferencję Pracy w czerwcu 1925 r.

Przed rozpoczęciem prac związanych z powyższą ankietą, przystąpiło Międzynarodowe Biuro Pracy do dokładnego ustalenia sposobów uzyskania ścisłych danych statystycznych, gdyż zestawienie międzynarodowych statystyk przedstawia wiele trudności, nawet gdy idzie o najlepiej zorganizowane przemysły.

Ustalając metody pracy, uwzględniło Biuro rozmaite rodzaje płac (płace gotówkowe, płace w naturze, wszelkiego rodzaju dodatki i t. d.) oraz przeprowadziło dokładne obliczenia na temat istotnego czasu pracy w kopalniach. Metody ustalone przez Biuro dla przeprowadzenia ankiety zostały zaaprobowane przez specjalną Komisję wyznaczoną przez Radę Administracyjną w styczniu 1926 r., poczem Biuro przystąpiło na zasadzie memorjałów nadesłanych przez zainteresowane rządy do sporządzenia porównawczych statystyk w zakresie płac górników nominalnych i rzeczywistych (z uwzględnieniem kosztów utrzymania w poszczególnych zagłębiach węglowych), przeciętnych płac w stosunku do jednej tonny wydobytego węgla i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że ankieta przeprowadzona przez Biuro przyczyni się do należytego oświetlenia kryzysu węglowego, którego jesteśmy świadkami w dobie powojennej.

Krótkie wiadomości gospodarcze

Według wiadomości z Bogoty, Izba Deputowanych Rzeczypospolitej Kolumbijskiej przyjęła przedłożenie, przewidujące założenie narodowego towarzystwa naftowego w Kolumbji o kapitale 200 milj. dolarów, celem eksploatacji kolumbijskich pól naftowych. Przedłożenie przekazane zostało Komisji, która w ciągu czterech dni ma złożyć sprawozdanie.

* * *

National City Bank w Nowym Yorku zajmuje się w swem ostatniem miesięcznem sprawozdaniu szczegółowo narowami amerykańskiej spekulacji giełdowej i zauważa do tego, że udział publiczności w spekulacji giełdowej przyjął dotychczas nieobserwowane rozmiary. Szczególnie pożałowania godnem jest, że właśnie sfery ludności, które najmniej powinny narażać się na ryzyko spadku kursu, bardzo silnie się zaangażowały. Wskutek zmiany tendencji na amerykańskich giełdach akcyjnych ucierpiałyby dzisiaj o wiele szersze sfery ludności, niż dawniej, równocześnie dałby się we znaki i poważniejszy wpływ na siłę nabywczą ludności.

* * *

Gdański wydział portowy zamierza celem finansowania dalszej rozbudowy portu gdańskiego zaciągnąć pożyczkę. Jak wiadomo, wydział ten dopiero w lecie 1927 r. zaciągnął na ten cel w Ameryce pożyczkę w wysokości 4,5 milj. dolarów.

* * *

Według pogłosek, obiegających na Walstreet, w amerykańskim przemyśle samochodowym ma nastąpić nowa fuzja, a mianowicie między firmami Packard Motor Car Co. i Hupp Motor Car Co. Aktywa nowego koncernu wynosiły łącznie około 100 miljonów dolarów.

* * *

W angielskim przemyśle bawełnianym istniało w 1924 r. 620 firm pojedyńczych, z czego jeszcze około 60 przedsiębiorstw znajduje się w rękach prywatnych. Od r. 1885 do 1914 ilość wrzecion powiększyła się o 43,7 proc., a mianowicie z 41,2 na 59,317 milj., a w r. 1927 ilość wrzecion wynosiła 68,465 miljonów. Przyczem należy wskazać na to, że istnieją większe przedsiębiorstwa, posiadające powyżej miljona wrzecion (fa Crosses et Winkworth 2 milj.), a jedno nawet (Fine Coton Spinner's and Doubler's Association, posiadające przeszło 3 miljony wrzecion.

* * *

Według korespondencji z Wiednia „Austrjacki Zakład Kredytowy dla handlu i przemysłu", jeden z czterech kierujących banków austrjackich, zakupił większość akcyj rumuńskich rafineryj cukru, należących do banku Marmarosch-Blank w Bukareszcie. Delegaci banku tego, należącego do koncernu Rotszylda, oświadczyli, że to jest pierwsza akwizycja w toku zainteresowania się rumuńskim przemysłem cukrowym.

* * *

Według sprawozdania komitetu Balfour'a, brytyjski przemysł bawełniany liczył w roku 1926 przeszło 1/3 ilości wrzecion świata, 1/4 krosien, około 2/5 wagi i połowy wartości przędzy, eksportowanej z najgłówniejszych krajów. Co do rozmiarów swych urządzeń nie był jeszcze osiągnięty przez żaden inny kraj i objętością eksportu oraz jego wartością stał na czele innych krajów.

SYTUACJA NA RYNKU BAWEŁNY.

Interes pozostaje spokojny. Rynki stoją jeszcze pod wpływem Zielonych Świąt, a przedłużenie okresu tego ujawnia się w braku zainteresowania zarówno na tranzakcje loco, jak i terminowe.

Nieznaczne zakupy z powodu niekorzystnej pogody wystarczyły do wywołania zwyżki w chwili podjęcia interesu po długim spoczynku i rynek objawiał więcej „zacięcia", niż od pewnego czasu. Z powodu nerwowości Ameryki i grożących deszczów we wschodnim rejonie, ożywienie panowało w dalszym ciągu prawie do końca tygodnia, późniejsze wiadomości jednak, przepowiadające korzystniejszą pogodę, osłabiły rynek i znacznie obniżyły ceny. Warunki przyszłych zbiorów naogół wykazują mało zmiany; raczej nastąpiła całkiem lekka poprawa. Ale zaufania godni amerykańscy interesenci mówią o konieczności dobrej pogody przez dłuższy okres czasu, jeżeli zbiory mają rzeczywiście osiągnąć wydatność, początkowo przepowiadaną. Wchodzi tu również w grę możliwość szkody, wyrządzonej przez owady, faworyzowanych przez złe warunki atmosferyczne. Rynek wewnętrzny jest tego rodzaju, że przemysłowcy szukają pretekstu dla zamykania fabryk na pewien czas. Do tego dochodzi słaby popyt i ciągle krytyczna sytuacja robotnicza. Również i tranzakcje na termin nie wzbudzają wiele zainteresowania; rynki wykazują pewną ciasnotę. Zakupy nie były dość znaczne, aby słaba podaż dała się we znaki.

MS.

PROJEKTY ZMIANY SYSTEMU KLAS PASAŻERSKICH.

Towarzystwo Kolei Państwowych Niemieckich wystąpiło do rządu z projektem ogólnej podwyżki taryfy celem podwyższenia dochodu rocznego o sumę 250 miljn. mk., potrzebną głównie na podwyższenie płac. Z sumy tej 55 miljn. mk. ma przypaść na ruch osobowy, a pozostałe 195 miljn. mk. na ruch towarowy.

Podwyżka taryfy towarowej ma być zróżniczkowana, niektóre taryfy, jak eksportowa na węgiel, mają nawet ulec zniżce, w przecięciu jednak taryfy towarowe miałyby być podniesione o 10 proc.

W ruchu osobowym projekt przewiduje dwie alternatywy: ogólne podniesienie wszystkich taryf o 15 proc., albo też wprowadzenie systemu 2 klas, wyściełanej i twardej, przyczem taryfa klasy wyściełanej znalazłaby się między obecną taryfą kl. II i III, a taryfa klasy twardej — między obecną kl. III i IV. W tym drugim wypadku uległyby zniesieniu dotychczasowe klasy IV i I, zostałaby natomiast wprowadzona klasa luksusowa dla pociągów w ruchu międzynarodowym. Podwyżka taryfy zostałaby przytem osiągnięta przez zniewolenie dotychczasowych pasażerów IV kl., którzy stanowią przeszło 80 proc. wszystkich podróżujących koleją, do korzystania z droższej klasy twardej oraz do opłacania nowozaprowadzonych dodatków za szybkość.

Rząd jest podobno nieprzychylnie usposobiony do tego projektu. W razie odrzucenia go Towarzystwo może na zasadzie swego statutu odwołać się do sądu rozjemczego, złożonego z arbitrów: mianowanego przez rząd i wyznaczonego przez Towarzystwo oraz superarbitra, wyznaczonego przez prezesa Najwyższego Sądu Państwowego.

Zasługuje na uwagę pomysł ograniczenia liczby klas.

Dotychczas ograniczono liczbę klas do dwuch w Anglji (gdzie jednak wszystkie wagony osobowe są wyściełane) i w Sowdepji (klasy wyściełana i twarda). W Ameryce istnieje jedną tylko klasa i to wyściełana, ale wyższą klasę, za osobną dopłatą, stanowią liczne wagony komp. Pulmana i inne.

P. K. P., licząc z wagonami sypialnemi, które stanowią właściwie osobną klasę luksusową, posiadają 4 klasy, a w dyrekcjach: Katowickiej, Poznańskiej i Gdańskiej, gdzie pozostawiona została IV klasa, nawet 5 klas. Stanowi to utrudnienie w eksploatacji, niezrównoważone nikłemi korzyściami, jakie ze zróżniczkowania wygody podróżowania odnosi publiczność.

Dlatego ewentualne ograniczenie liczby klas w Niemczech musiałoby się przyczynić do zrewidowania tej sprawy u nas.

ROZBUDOWA KABLOWEJ SIECI TELEFONICZNEJ.

Budowa kabli telefonicznych, t. j. przeprowadzenie napowietrznej sieci telefonicznej na podziemną, ma na celu udoskonalenie linij telefonicznych, a to przez izolowanie ich od wszelkich szkodliwych wpływów zewnętrznych.

Wedle planu, opracowanego przez Ministerstwo Poczt i Telefonów, przewiduje się budowę siedmiu najważniejszych magistrali kablowych, które będą wychodziły promienisto z Warszawy, a ponadto jednej poprzecznej od Katowic — przez Kraków do Lwowa.

Mianowicie, projektowana sieć kablowa będzie obejmowała następujące odcinki: Warszawa — Łódź — Katowice — Cieszyn (520 km.), Warszawa — Bydgoszcz — Gdynia (346 km.), Warszawa—Zbąszyń (362 km.), Warszawa — Radom — Kraków (300 km.), Warszawa — Białystok — Wilno (419 km.), Warszawa — Lublin — Korzec (152 km.), Białystok — Baranowicze (200 km.), Kraków — Lwów — Borysław (427 km.), Łódź — Krotoszyn (166 km.), Warszawa—Brześć n. Bugiem (196 km.), Warszawa — Mława (132 km.), Wilno — Turmont (157 km.). Ogółem 3.378 km. linji.

Budowa kabli ma być dokonana przy zastosowaniu systemów, wypróbowanych zagranicą, tudzież przy uwzględnieniu najnowszych postępów technicznych w tej dziedzinie. Na podanej wyżej przestrzeni zostanie umieszczonych czterdzieści sześć stacyj wzmacniających, w celu zapewnienia dobrego porozumiewania się tak wewnątrz kraju, jak i z najdalszemi miastami zagranicznemi w Europie.

Wykonanie tego programu budowy jest obliczone na lat 8—10 i to kosztem około 150.000.000 zł. Sfinansowanie budowy umożliwione zostanie przez zaciągnięcie pożyczki państwowej.

Według dokonanej kalkulacji dochodów, spodziewanych z eksploatacji sieci kablowej, przewiduje się, że już po 6—10 latach nastąpi całkowita amortyzacja kosztów budowy, zapewniając przytem państwu znaczne dochody przez dalszych lat 30, ponieważ przeciętny czas trwania kabli oblicza się na lat czterdzieści.

„METODY“

„Epoka“ warszawska upodobała sobie w stosunku do przemysłu włókienniczego konsekwentną ofensywę. Stanowi ona cel sam w sobie, nie środek do celu, więc w braku konkretnych punktów zaczepnych stwarza się urojone, byle móc nie ustawać w ataku. Reżyserem naczelnym jest tam p. Józef Leszczyc: on stwarza źródła informacyjne i rozdziela rolę. Niedość na tem, że sam opiera swoje oskarżenia na inwektywach, których nie potrafiłby żadną miarą udowodnić, pobudza jeszcze w dodatku swoich kolegów do wyszywania na pajęczej swojej kanwie. Tak więc nawet feljetonista, Widz, opierając się na schwytanych z powietrza oskarżeniach, wypowiedział się w feljetonie o rzekomym bezpłodnym oporze „Prawdy“ przeciwko ustawodawstwu socjalnemu, inkryminując nam m. in, że prowadzimy systematyczną walkę ze zdobyczami robotniczemi, że inspekcja pracy jest dla nas czerwoną płachtą, doprowadzającą nas do stanu szczególnego podrażnienia. Gdyby feljeton ten był się ukazał na łamach innego pisma zainteresowalibyśmy się bardzo pytaniem: skąd on to wziął, jako że najstaranniejsze przewertowanie roczników „Prawdy“ nie wydało żadnego rezultatu: nie znaleźliśmy ani jednego artykułu, zdradzającego jakąkolwiek animozję lub urazę do inspekcji pracy, ani też żadnego, poświęconego walce z ustawodawstwem socjalnem. Do tej kategorji bowiem nie możemy zaliczyć artykułów, omawiających nieracjonalność, lub gospodarczą szkodliwość, lub życiową nierealność tego lub innego przepisu lub zamierzenia prawnego. Krytyka prawa nie jest analogiczną z szerzeniem bezprawia i prawo do niej nie może być nikomu odmawiane.

Ale p. Widza nie wprowadzimy w kłopot tem zapytaniem — bo wiemy zgóry, co nam odpowie: że dowiedział się o tem od p. Leszczyca. A przykroby mu było przyznać się, że zbyt lekkomyślnie mu uwierzył i sam nie zadał sobie trudu sprawdzenia jego informacyj.

Sam p. Leszczyc natomiast, który wprawdzie poprzednio już opatrzył jeden ze swoich artykułów tytułem „Bez niedomówień“, ale w nim nie wyszedł poza sferę mglistych ogólników, nareszcie wylegitymował się dowodem konkretnym. Jest nim okólnik Związku Włókienniczego, wyjaśniający zakładom przemysłowym podstawy prawne roszczeń robotników, pretendujących w razie zwolnienia z pracy z początkiem roku kalendarzowego, do urlopu, mimo że od czasu ostatniego urlopu upłynęło zaledwie kilka miesięcy. P. Leszczyc bardzo jest o to zagniewany, bo dopatruje się w tem „sprzecznego z przepisami prawa“ pouczenia, wydanego w celu stworzenia solidarnej „metody obrabowywania robotników z urlopów“, należnych im według opinji p. Leszczyca z początkiem każdego roku kalendarzowego, a więc już 2 stycznia, choćby — dodajmy od siebie — robotnik z ostatniego swego urlopu korzystał np. w grudniu. Tak bowiem p. Leszczyc interpretuje rozporządzenie wykonawcze Min. Pracy i Op. Społ. do ustawy o urlopach.

Nieco odmiennie na sprawę tę zapatruje się jednak Sąd Najwyższy, który w wyroku z dnia 18 lutego 1927 r. ustanowił tezę następującą: „Przedsiębiorca rozwiązując umowę z pracownikiem przed udzieleniem mu urlopu, wtedy tylko winien pracownikowi zapłacić za czas urlopu, gdy umyślnie zwalnia pracownika, aby nie udzielić mu płatnego urlopu, do którego pracownik nabył już prawo. Wobec tego sąd wyrokujący winien ustalić, czy zachodzi przypadek rozmyślnego wydalenia pracownika w celu pozbawienia go urlopu płatnego, co zależeć będzie od okoliczności natury faktycznej“. W motywach zaś S. N. twierdzi, że § 1 rozporządzenia Min. Pr. i O. S. z dnia 16 maja 1922 r. „normując wydawanie urlopów płatnych w każdym roku kalendarzowym, nie zmienił zasad ustawy, lecz jedynie miał na celu uporządkowanie sprawy urlopów dla ogółu pracowników danego przedsiębiorstwa“. A dalej: „że wzgląd iż... zwolniony pracownik fabryczny w danym roku gdzieindziej już urlopu nie otrzyma nie może mieć wpływu na uznanie pretensji pracownika za słuszną, albowiem z mocy art. 2 ustawy tylko robotnicy, zatrudnieni w górnictwie, gdzie przechodzą w pewnym przeciągu czasu ze służby w jednym zakładzie do zakładu innego, nie przerywają przez to przepisanego dla uzyskania urlopu czasu pracy, z czego wynika, że pracownicy w innych gałęziach przemysłu przy przejściu od jednego pracodawcy do drugiego w myśl ustawy tracą poprzednią wysługę przy obliczaniu nowego uprawnienia do urlopu“.

Czy mając do wyboru między interpretacją p. Leszczyca a wykładnią Sądu Najw. Związek Włókienniczy dopuścił się czynu tak karygodnego, że wybrał tę ostatnią? W każdym razie sądzić należy, że wobec takiego brzmienia wyroku S. N. zarzut wydania „sprzecznego z przepisami ustawy“ pouczenia traci wszelki grunt i podstawę.

I tak samo zupełnie jest z wszystkiemi innemi zarzutami p. Leszczyca, który dlatego tylko nie przytacza dowodów dla swych twierdzeń, że chce im oszczędzić losu, który spotkał omawiany wyżej zarzut.

W tym samym numerze „Epoki“ z dnia 7 czerwca b. r. pan J. W. K. zamieścił ostrą filipikę przeciwko Manchesterowi Polskiemu. Źródłem natchnień autora jest pamflet p. Krahelskiej. Dla nadania mu powagi p. J. W. K. insynuuje, że pamflet ten wydany został przez Instytut Konjunktur Gospodarczych, czyli świeżo zupełnie powołaną do życia instytucję naukową rządową. Zastosował dla tej mistyfikacji metodę bardzo sprytną, bo nie cytuje ścisłej nazwy Instytutu i tylko jakby przez omyłkę pisze „instytut konjunktur gospodarczych“, zamiast nazwy prywatnego Instytutu Gospodarstwa Społecznego, któremu nikt odmówić nie może niepodzielnej choć wątpliwej zasługi użyczenia swej firmy temu wydawnictwu. Wszelako p. J. W. K. wiedział dobrze, że samo słówko „konjunktur“ wystarczy dla wprowadzenia w błąd czytelników.

Za tymto almanachem autor powtarza wszystkie niestworzone rzeczy o olbrzymich kredytach rządowych z r. 1919, o zaniechaniu produkcji, opartej na zdrowych i racjonalnych podstawach gospodarczych, o stałem przedłużaniu liczby godzin pracy, o celowem szerzeniu bezrobocia, które mogłoby być zlikwidowane, gdyby przemysłowcy trzymali się ściśle ustawowego 8-mio godzinnego dnia. Nie brak oczywiście i bredni o pracy nad siły na czterech krosnach przestarzałego systemu przy niezmienionym zarobku.

To już nie jest nieświadomość: to program i zła wola, podyktowana chęcią podburzania i podjudzania za wszelką cenę, więc oczywiście w pierwszej linji za cenę kłamstwa. Sama tylko nieświadomość, poparta odrobiną powagi, szukałaby prawdy u źródła — zwłaszcza gdy źródła są tak łatwo dostępne. Kto jednak tego nie robi, to tylko aby nie stracić tupetu w koloryzowaniu.

W swem zacietrzewieniu, któremu się jednak dziwić nie można u jednostki, która uwierzyła p. Krahelskiej — p. J. W. K. poczuwa się w oskarżeniu praworburczego przemysłu aż do stwierdzenia, że „inspekcje fabryczne niewiele tu dotąd zdziałać mogły wobec zdecydowanego oporu fabrykantów“. To już jest oskarżenie nie przeciwko przemysłowi, lecz przeciwko wykonawczym organom władzy, postawionym na straży prawa. To już jest konkretne oskarżenie władzy o bezczynność, rzucone pod postacią perfidnego usprawiedliwienia jej niemocy, co do której niema rzekomo żadnych wątpliwości.

Nie naszą jest rzeczą bronić inspekcji, poprzestajemy więc na stwierdzeniu, że przemysł włókienniczy, lubo często odczuwa dotkliwie nadmierny ciężar zbyt pośpiesznie rozbudowanego prawodawstwa socjalnego i olbrzymich jego usterek, respektuje je jednak nienagannie. Uchybienia, o ile się zdarzają, są odosobnione i nieprogramowe i bez wyjątku stosowane za zgodą, a często nawet za wyraźną wolą robotników. Nie kusząc się o obronę tych uchybień, nie możemy jednak nie wypowiedzieć przekonania, iż winę za uchybienia przeciw prawu niezawsze ponosi niepodzielnie sam uchybiający. Są bowiem prawa, które same w sobie noszą zaród nieznalezienia poszanowania. Do takich należą wszystkie te, które zamiast czerpać wskazania z życia i być ich regulatorem, czerpią je z teorji lub doktryny i usiłują życiu narzucić. W dziedzinie rzeczy małych wzorem takiego prawa jest jawnie i powszechnie łamany zakaz sprzedaży alkoholu w soboty i niedziele. A czy naprawdę uczyni kto prawoburcę z pijącego przy niedzieli wódkę z filiżanki? O ile wogóle toleruje się wódkę — to rzecz to zapewne małoważna. Ale istnieją też o wiele ważniejsze w swej istocie wskazania życiowe, aniżeli konieczność wypicia wódki przy niedzieli — a wtedy również i ważniejsze prawa zostają obrażone. Z punktu widzenia praworządności jednak niema praw mniej i bardziej ważnych i równy odruch oburzenia wywołać winien widok poczciwca z filiżanką jak bezmyślne ogłoszenie przemysłowca, poszukującego kobiet do pracy w nocy. A dlaczego z powodu filiżanki nie wznieca się wrzasku? Bo przekonano się, że filiżanka doskonale zastępuje nowelę sejmową odwołującą niezgodny z życiem przepis prawa...

W zakończeniu swego artykułu p. J. W. K. dla nadania swym wywodom pozorów aktualności wykazuje jeszcze niedostateczność zarobków robotników włókienniczych przez porównanie ich z zarobkami w innych krajach. Nie wiemy, czy porównanie jest ścisłe co do cyfr i podstawy, wiemy jednak napewno, że jako podane w oderwaniu od całokształtu warunków jest całkowicie pozbawione wszelkiej wartości i mocy dowodowej. Sama suma bowiem nie mówi nic o ile nie jest obok tego powiedziane, co robotnik za nią daje i co za nią może nabyć, jakie na niej ciążą świadczenia uboczne i wśród jakich warunków jest wypłacana. I to również jak wszystko inne, rzucone jest tylko jako żer dla tłumów i podnieta nienawiści, której tak pełna jest dusza p. Krahelskiej i jej elewa p. Leszczyca.

m. b.